

Powiat



Nr 9-10 (236-237), Wrzesień-Październik 2020

Rok XX * ISSN 1730-7686

facebook.com/morskipowiatslupski

SŁUPSKI

**JACEK GRACZYK
(1953-2020)**

Za pleców premiera

Człowiek wyposażony

Jak chór połączył ludzi

Taka sobie zakręcona artystka

Słupskie winyle stały się dla mnie inspiracją

Słupsk powinien się tym chwalić

Ja, matka z PRL-u

Dzwony z Wytowna

Wieś Tworząca



ROZPOCZĘCIE NOWEGO ROKU SZKOLNEGO 2020/2021 W ZESPOLE SZKÓŁ AGROTECHNICZNYCH

SŁUPSK, WRZESIEŃ 2020





PAWEŁ LISOWSKI
Starosta Słupski

Powiat

SŁUPSKI

Drodzy Czytelnicy!

Od środy, 21 października br. jesteśmy smutni, rozżaleni i żyjemy w poczuciu bezsilności. Właśnie w godzinach rannych dowiedzieliśmy się o nagłej śmierci burmistrza Ustki, Jacka Graczyka. To była trudna do pogodzenia wiadomość. W poniedziałek, 26 października pożegnaliśmy Jacka na cmentarzu komunalnym w Ustce.

Jacek Graczyk był i będzie dla nas, samorządowców inspiracją i motywacją do działania. Bardzo często od Niego czerpaliśmy wzorce. Mogliśmy się dużo nauczyć. I nie są to puste słowa. Inwestycje, rozwój – tym przede wszystkim żył i to napędzało Go w sa-

morządowej działalności. Jest niewielu tak proinwestycyjnie i prorozwojowo nastawionych samorządowców. Dzięki takiej postawie ustczanie i turyści mogli się cieszyć efektami Jego pracy i całego zespołu miejskich urzędników. On był liderem, ale było to przywództwo w nowoczesnym wydaniu. Pamiętam jak niedawno Ustka otrzymała nagrodę za skuteczne pozyskiwanie środków z Unii Europejskiej. Do zdjęcia nie ustawił się sam burmistrz, stanął razem z kilkudziesięcioma swoimi urzędnikami. Podkreślał, że ta nagroda jest zasługą całego zespołu. Takim był Jacek liderem!

Był szanowany przez różne opcje polityczne, od lewa do prawa. Potrafił

rozmawiać z wszystkimi, którym tak, jak Jemu zależało na rozwoju Ustki i regionu. Jego partią była Ustka i byli ustczanie! Jak przystało na samorządowca, miał śmiałe pomysły i idee, za którymi nie zawsze, my młodszy wiekiem i stażem, nadążaliśmy. Jak wytrawny szachista potrafił poprowadzić kilka ruchów. Decyzje, które mogły się dzisiaj wydawać niekorzystne, jutro przynosiły wymierne efekty.

Jacek Graczyk nigdy nie unikał kontaktu z mieszkańcami. Na początku kadencji udzielił wywiadu Głosowi Pomorza. Redaktor K. Nałęcz zapytał, czy tak spektakularne zwycięstwo w wyborach już w pierwszej turze i

wprowadzenie z własnego komitetu do rady miasta tak wielu ludzi, nie będzie oznaczało, że zbraknie w niej miejsca na inne poglądy? Jacek odparł, że będzie konsultował swoje zamierzenia. I słyszał z tego, że konsekwentnie to robił. Nawet w czasie pandemii, gdy spotkania były utrudnione, organizował wideokonferencje, na których zachęcał mieszkańców do wypowiadania się na ważne tematy. Pozostawiał zawsze możliwość swobodnej wypowiedzi, dyskusji i zadawania pytań. Miał też niesamowitą odwagę bronić swoich racji.

Będzie nam Jacka bardzo brakować!

W numerze:

- 2 W czerwonej strefie
- 2 Budżet i drogi powiatowe
- 2 Prawie 5 mln zł na projekty
- 3 Nowy prezes
- 3 Prehabilitacja w szpitalu
- 3 Nagrody dla nauczycieli
- 4 Klasa sportowa
- 4 Dzień języków
- 4 Wystawa marynistyczna
- 4 Zdalny festiwal
- 5 Olimpiada sportowa
- 5 Nie żyje burmistrz Ustki
- 6 Zza pleców premiera



Spora część obywateli, która w minionych wyborach dawała wyraz niezadowoleniu z działalności rządu w czasach kryzysu epidemicznego, oczekiwała zmian w polityce rządzących.

- 8 Zostały szachy polityczne

- 9 Wakacyjny czas pandemii
- 11 „Białe Bociany 2020” dla twórców i animatorów kultury
- 13 Cieszą mnie wszelkie przejawy lokalnej aktywności
- 14 Tanzańczyć uczą się polskiego
- 15 Człowiek wyposażony



Człowiek wyposażony – takim pojęciem obdarowuje nie tylko siebie, ale całą już ponad siedmio i półmiliardową populację, tu i teraz na naszej matce Ziemi.

- 17 No to jedziemy na Patuki
- 19 Jak chór potączył ludzi?



– Lubię jak żona śpiewa, bo ma melodijny, kojący głos. A wieczorem zakłada słuchawki i słucha swoich ulubionych piosenek.

- 21 Diabły z topolowych pni
- 22 Przemijanie jak spadające jesienne liście
- 24 Taka sobie zakręcona artystka



Nie sprzedaje swoich obrazów, ponieważ aktywnie maluje dopiero od trzech lat. Myśli o przygotowaniu kolejnych wystaw. Ma też do nich szczególny, osobisty sentyment.

- 27 Entuzjastyczne otwarcie
- 30 Słupskie winyle stały się dla mnie inspiracją

Festiwal Pianistyki Polskiej w Słupsku odcisnął na mnie



piętno, bo w latach dziewięćdziesiątych trafiły do mnie płyty winylowe wydawane podczas tego festiwalu.

- 33 Słupsk powinien się tym chwalić



Krystian Zimerman, Rafał Blechacz. Obaj występowali w Słupsku, co uważam za wielki zaszczyt. Słupsk powinien się tym chwalić!

- 35 Przeszkodził Covid-19

- 36 Ja, matka z PRL-u



Otyła matrona o rozrzuconym zezie, która okazała się potożną, do wszystkich na tej sali zwracała się per „ty”. Grubym, basowym głosem co chwilę uciśzała krzyczące pacjentki w stylu: – Nie drzyj się tak!

- 39 Dzwony z Wytowna



Czy były wtedy dzwony? Na twój? Czy głośno pokój? Nic o tym nie wiemy. Chociaż od wieków były w ważnych dla lokalnej społeczności chwilach.

W czerwonej strefie

Od soboty 10 października powiat słupski (od 17. również Słupsk) znalazł się w czerwonej strefie pod względem zagrożenia Covid-19. Mieszkańców obowiązują szczególne zasady bezpieczeństwa i ograniczenia.

Na 15 października, według danych Powiatowej Stacji Sanitarnej-Epidemiologicznej w Słupsku, w powiecie słupskim i Słupsku w kwarantannie domowej na podstawie decyzji Państwowej Inspekcji Sanitarnej poddane zostały 1352 osoby, a na podstawie rozporządzenia Ministra Zdrowia

KPRM

Nowe zasady bezpieczeństwa

OD SOBOTY, 24 PAŹDZIERNIKA

EDUKACJA, KULTURA I SPORT

- nauka w klasach 4-8 w trybie zdalnym
- w godzinach 8:00-18:00 przemieszczanie się osób do 16 r.ż. pod opieką dorosłego
- szkoły wyższe i ponadpodstawowe w trybie zdalnym
- wydarzenia sportowe bez udziału publiczności
- wydarzenia kulturalne - do 25% udziału publiczności
- zawieszono działalność basenów, aquaparków, siłowni

GOSPODARKA

- zawieszenie działania sanatoriów (z możliwością dokończenia trwających turnusów)
- lokale gastronomiczne i restauracje - zakaz działalności stacjonarnej (jedynie na wynos i dowóz)
- 5 osób na 1 kasę w placówkach handlowych do 100 mkw
- 1 osoba na 15 mkw w placówkach handlowych pow. 100 mkw
- w transporcie publicznym zajętych 50% miejsc siedzących lub 30% wszystkich

ŻYCIE SPOŁECZNE

- ograniczenie imprez, spotkań i zebrań oraz zgromadzeń publicznych do 5 osób spoza gospodarstwa domowego
- ograniczenie przemieszczania się osób 70+ z wyłączeniem:
 - wykonywania czynności zawodowych
 - zaspokojenia niezbędnych potrzeb życia codziennego
 - sprawowania lub uczestniczenia w sprawowaniu kult. religijnej

z 20 marca br. o ogłoszeniu stanu epidemii - 74 osoby. Hospitalizowanych z powodu rozpoznania zakażenia Covidem-19 było 29 osób. Zanotowano 3 zgony! Pod nadzorem epidemiologicznym pozostawały 184 osoby, organy Państwowej Inspekcji

Sanitarnej wydały 233 decyzje o izolacji domowej osób, u których stwierdzono wynik dodatni.

W Słupsku i powiecie słupskim od początku istnienia pandemii wynik dodatni stwierdzono w sumie u 593 osób, wyzdrowiało - 328. Tylko 15 października

potwierdzono w Słupsku obecność wirusa SARS-CoV-2 u 22 osób, w powiecie słupskim - u 17. W województwie pomorskim tego dnia stwierdzono 500 przypadków zakażenia Covid-em-19.

W Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym im. J. Korczaka w Słupsku w związku z postępującą sytuacją utworzono, na wniosek wojewody pomorskiego, dodatkowy oddział specjalistyczny - izolacyjny dla zakażonych pacjentów z 12 łózkami, w tym trzema podłączonymi do respiratorów. Dodatkowo 10 łóżek dla pacjentów z podejrzeniem koronawirusa przygotowano na SOR. Dyrekcji szpitala udało się zapewnić niezbędną obsadę kadrową do obsługi utworzonego oddziału. (z)

Budżet i drogi powiatowe

Na sesji wrześniowej (obradowała 29.) radni wysłuchali informacji o wykonaniu budżetu za pierwsze półrocze, o kształtowaniu się wieloletniej prognozy finansowej i przyjęli dwie uchwały. Wcześniej jednak starosta słupski Paweł Lisowski przedstawił wyczerpująco sprawozdanie z działalności Zarządu Powiatu w okresie od sierpnia do sierpnia oraz z wykonania podjętych przez radę na niej uchwał.

Radni przegłosowali uchwałę o zawarciu umowy z gminą Dębica Kaszubska na przebudowę drogi powiatowej nr 1172G w Skarszewie Dolnym oraz zmieniły podjętą w sierpniu uchwałę o przyjęciu przez powiat od

Państwowego Gospodarstwa Leśnego Lasy Państwowe Nadleśnictwa Leśny Dwór środków na przebudowę tej drogi. Dokonali zmian w budżecie powiatu oraz w wieloletniej prognozie finansowej.

27 października, z uwagi na sytuację związaną z pandemią i wprowadzone w kraju nowe zasady bezpieczeństwa, sesja została przeprowadzona w systemie online. Radni zdecydowali o wysokości stawek opłat za usunięcie pojazdu z drogi i jego parkowanie na parkingu strzeżonym oraz wysokości kosztów powstałych w razie odstąpienia od usunięcia pojazdu. Zgodzili się na zawarcie



Fot. Archiwum

umów ze Słupskiem na opracowanie Strategii Rozwoju Miejskiego Obszaru Funkcjonalnego Słupsk na lata 2021 - 2030, z gminą Kępice - na przebudowę drogi powiatowej nr 1162G z chodnikiem w Przytocku, z gminą Smołdzino - na przebudowę drogi powiatowej nr 1123G na odcinku Żelazo do mostu w kierunku Wierzchocina, a z gminą

Dębica Kaszubska - na budowę chodnika w ciągu drogi powiatowej nr 1177G w Gogolewie.

Radni zdecydowali o powierzeniu gminie Ustka spraw związanych z zarządzaniem publiczną drogą na działkach w obrębie ewidencyjnym Zaleskie PGR i w obrębie Zaleskie, gminie Kobylnica - spraw związanych z zarządzaniem publiczną drogą powiatową nr 1152G w Dobrzęcinie oraz opracowania dokumentacji projektowej rozbudowy drogi powiatowej nr 1105G na odcinku od drogi krajowej 6 do Żębowa z budową ścieżki rowerowej, a gminie Słupsk - zarządzania drogami powiatowymi położonymi na jej terenie.

Ponadto radni zapoznali się z informacją Wojewódzkiego Inspektora Ochrony Środowiska o stanie środowiska na terenie powiatu słupskiego za 2019 rok. (z)

Prawie 5 mln zł na projekty

Powiat słupski pozyskał prawie 5 mln zł dofinansowania na dwa projekty - „Srebrna Sieć II” i „Rodzina w Centrum II”. Oba są kontynuacją wcześniej realizowanych w obszarze polityki społecznej.

„Srebrna Sieć II” to projekt skierowany do seniorów oraz opiekunów osób starszych,

w ramach którego nadal realizowane będą usługi sąsiedzkie, specjalistyczne, asystenckie, teleopieka i działać będzie wypożyczalnia sprzętu rehabilitacyjnego. Powstaną kluby seniora, zostanie powołana powiatowa rada senioralna. Nadal będzie działał „Srebrny telefon” oraz dostępne będzie poradnictwo psychologiczne. Projekt realizowany jest w partnerstwie

z gminami: Kobylnica, Kępice, Słupsk, Dębica Kaszubska, Potęgowo, Ustka, Smołdzino, Główczyce, ze Stowarzyszeniem „My dla Was” z Przytocka oraz Altra Consulting - spółką z o.o. z Gdańska.

Drugi projekt „Rodzina w Centrum II” skierowany jest do rodziców dzieci przebywających w pieczy zastępczej, usamodzielnianych wychowanków, rodzin biologicznych dzieci. Obejmuje szereg specjalistycznych i warsztatów

wsparcie psychoedukacyjne, integrację sensoryczną, zajęcia teatralne. Realizowany jest w partnerstwie z gminą Kobylnica, Zakładem Doskonalenia Zawodowego w Słupsku oraz Fundacją „Bocianie Gniazdo” w Runowie.

Na pierwszy powiat słupski otrzymał od Pomorskiego Urzędu Marszałkowskiego w Gdańsku 4075 582,17 zł, na drugi - 818 773,33 zł. Koszt całkowity obu projektów to 5 151 953,16 zł. (P)

Nowy prezes

Piotr Rachwalski, były prezes Kolei Dolnośląskich i ekspert z dziedziny transportu publicznego został nowym prezesem Przedsiębiorstwa Komunikacji Samochodowej S.A. w Słupsku.

Wyborze nowego prezesa zdecydowała jednogłośnie rada nadzorcza spółki, którą przekonało wieloletnie doświadczenie kandydata, jego wiedza i kompetencje. Stanowisko objął 1 września. Piotr Rachwalski uważa, że słupski PKS może w przyszłości być marką, o której

jej odbiorcy będą mówić dobrze. Wierzy, że wspólnie z załogą i we współpracy z odpowiednimi instytucjami, w tym właścicielami PKS-u (powiatem słupskim i lęborskim), będzie w stanie osiągnąć zamierzony cel. Kiedy zarządzał Kolejami Dolnośląskimi (od 2014 roku) liczba pasażerów korzystających z usług tamtej spółki wzrosła z 3,6 do 11,6 mln rocznie. Wcześniej był prezesem firmy przewozowej Nord Express, a od 2019 roku prezesem Aquaparku w Wałbrzychu. Z wykształcenia jest ekonomistą, doradcą i ekspertem z dziedziny transportu publicznego.



Fot. Archiwum

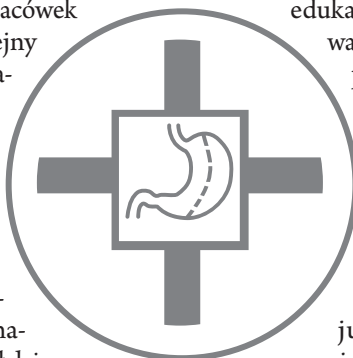
Dotychczasowa prezes PKS-u Anna Dadel pozostała w strukturze

spółki, objęła funkcję głównej księgowej. (z)

Prehabilitacja w szpitalu

Lekarze Oddziału Chirurgii Ogólnej i Onkologicznej Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego im. Janusza Korczaka w Słupsku, kierowanego przez doktora Cezarego Kaczmarkiewicza, rozpoczęli we wrześniu wdrażanie procedury prehabilitacji, czyli kompleksowego przygotowania pacjentów do leczenia operacyjnego w Ośrodku Koordynowanej Opieki Bariatrycznej.

Słupski szpital wprowadza i promuje prehabilitację jako jedną z pierwszych placówek w kraju. - Jest to kolejny krok w opiece nad pacjentem bariatrycznym - informuje Mateusz Wityk, lekarz Oddziału Chirurgii Ogólnej i Onkologicznej, zajmujący się chirurgicznym leczeniem otyłości. - Prehabilitacja to cały zespół działań, które mają przygotować pacjenta do leczenia operacyjnego.



Nasi pacjenci będą obecnie przygotowywani w jeszcze bardziej kompleksowy sposób. Prehabilitacja łączy bowiem elementy edukacji, przygotowania fizycznego, psychologicznego oraz dietetycznego. Założeniem jest rozpoczęcie procesu leczniczego już na pierwszej wizycie w poradni chirurgicznej (w przyszłości, być może u lekarza

rodzinnego). Podstawą jest włączenie i pełne zaangażowanie pacjenta w przygotowanie. Pacjent musi uświadomić sobie, że sposób w jaki przygotowuje się do operacji (każdego rodzaju) ma wpływ na ryzyko powikłań, długość pobytu w szpitalu oraz rekonwalescencję i czas powrotu do pełnej sprawności.

Słupski szpital chce w przyszłości wprowadzić prehabilitację jako standard do głównych procedur operacyjnych w całej placówce, aby wszyscy pacjenci byli jak najlepiej przygotowani do zabiegów.

Marcin Prusak, Słupsk

Nagrody dla nauczycieli

Z okazji obchodzonego 14 października Dnia Edukacji Narodowej starosta słupski Paweł Lisowski i przewodniczący Rady Powiatu Słupskiego Jan Olech podziękowali nauczycielom i pracownikom oświaty za trud i zaangażowanie wkładane w edukację i wychowanie młodego pokolenia. Nauczycielom pracującym w szkołach prowadzonych przez powiat starosta wręczył nagrody za osiągnięcia w pracy dydaktyczno-wychowawczej.

W tym roku z powodu pandemii Covid-19 nie zorganizowano powiatowych uroczystości z okazji Dnia Edukacji Narodowej. Starosta słupski Paweł Lisowski odwiedził wszystkie powiatowe placówki oświatowe i w nich, na miejscu dziękował nauczycielom oraz wręczył nagrody. Przyznał je jedenastu nauczycielom.

W Zespole Szkół Agrotechnicznych im. Władysława Reymonta w Słupsku nagrody finansowe otrzymali: Anna Chromińska, Monika Żynis i Mateusz Melewski. W Zespole Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce: Katarzyna Ozimek, Junona Olimpij, Monika Dymek i Jolanta

Domańska. W Młodzieżowym Ośrodku Socjoterapii w Ustce - Monika Jurek i Łukasz Stanisławski.

W Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym im. Marynarza Polskiego w Dąbnie nagrody starosty słupskiego odebrały Anna Garbicz i Sylwia Nowosadko. (z)



Fot. Archiwum

Klasa sportowa

W powiatowym Zespole Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce powstał oddział mistrzostwa sportowego o specjalności piłka nożna. Patronatem objął go Jerzy Engel – były selekcjoner piłkarskiej reprezentacji Polski.

Atrakcyjną formę kształcenia wybrało 25 utalentowanych chłopaków. W ramach

cotygodniowych, specjalistycznych zajęć sportowych będą trenować pod okiem trenerów posiadających kwalifikacje UEFA – Wojciecha Polakowskiego, Piotra Piszko i Karola Izmańłowicza. Oddział jako jedyny w Polsce wprowadzi innowację pedagogiczną w zakresie tzw. beach soccer (piłki nożnej plażowej).

Utworzenie sportowego oddziału było możliwe dzięki współpracy szkoły, władz powiatu słupskiego i władz Ustki,

Stowarzyszenia Sympatyków Piłki Ręcznej „Szczypiorniak-Ustka”, Pomorskiego Związku Piłki Nożnej i Hotelu Grand Lubicz-Uzdrowisko Ustka.

Klasa sportowa realizuje program nauczania liceum ogólnokształcącego, a zajęcia sportowe dostosowane są do planu lekcji. W tygodniowym planie uczniowie realizują 16 godzin wychowania fizycznego, w tym mają zajęcia na basenie i na siłowni prowadzone przez specjalistów z KS

„Jantar” Ustka. Plan zajęć obejmuje też naukę innych dyscyplin sportowych, zgodnie z podstawą programową liceum oraz treningi, zgodnie z wybraną specjalnością.

9 października br. w usteckiej szkole gościł Jerzy Engel – były selekcjoner piłkarskiej reprezentacji Polski. Na konferencji prasowej poinformował, że objął honorowym patronatem usteki oddział mistrzostwa sportowego. (z)

Dzień języków

Europejski Dzień Języków obchodzono w Szkole Podstawowej im. Henryka Sienkiewicza w Głobinie. Dzień taki ustanowiony został w 2001 roku z inicjatywy Rady Europy dla zwrócenia uwagi na różnorodność językową i kulturową państw europejskich oraz zachęcania do nauki języków obcych.

Europejski Dzień Języków przypada 26 września, w Szkole Podstawowej w Głobinie obchodzony był już 24. i objął uczniów klas siódmych oraz ósmych. Zorganizowano gry i zabawy edukacyjne. Z zainteresowaniem uczniów

spotkały się karty pracy z alfabetem rosyjskim, w których należało wpisać sześć słów cyrylicą. Jeszcze innym zadaniem była „dobieranka”, pozwalająca sprawdzić, ile wyrazów uczniowie odgadną w językach: angielskim, niemieckim, francuskim, hiszpańskim oraz litewskim. W głobińskiej szkole obchodzono również przypadający 29 września Ogólnopolski Dzień Głośnego Czytania, którego inicjatywa powstała w Polskiej Izbie Książki w 2001 roku. W dniu tym przypadają urodziny Janiny Porazińskiej – autorki książek dla dzieci i młodzieży. Ustanowiono go, by propagować czytelnictwo w szkołach.

Akcja głośnego czytania podjęta została w ramach kampanii Cała Polska Czyta Dzieciom.

Uczniowie klas starszych mieli okazję spotkania się z bohaterami nowel Henryka Sienkiewicza – patrona szkoły. Usłyszeli m.in. fragmenty losów Skawińskiego z noweli pt. „Latarnik”. Dowiedzieli się o niesprawiedliwości i

okrucieństwach świata opisanych w utworze „Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela”. Przypomnieli sobie też postać Janka Muzykanta oraz świat Indian tracących swoją ziemię, opisany w noweli „Sachem”.

Grażyna Diak, Głobino



Fot. SP Głobino

Wystawa marynistyczna

W siedzibie słupskiego starostwa można było obejrzeć wystawę zatytułowaną „M jak Morze 7”, będącą pokłosiem pleneru malarskiego zorganizowanego przez usteckie Stowarzyszenie Marynistów Polskich w Ustce.

Plenery „M jak Morze 7” zapoczątkował 36-lat temu nieżyjący już Witold Lubiniecki, uznawany za jednego z najlepszych marynistów polskich, którego obrazy można podziwiać w wielu miejscach świata. Obecnie Stowarzyszenie Marynistów Polskich, do którego W.

Lubiniecki też należał kontynuuje tradycję cyklicznych spotkań plenerowych.

W tegorocznym plenerze malarskim na przełomie sierpnia i września wzięło udział 18 artystów z regionu i kraju: Józef Dzieran, Tadeusz Drozdowski, Paweł Galiński, Diana i Maria Hoffmann, Krystyna Hrehorowicz, Urszula Imamura, Waldemar Kaliczak, Paweł

Kędzierski, Eugeniusz Kozłowski, Danuta Kruger, Romana Małecka, Katarzyna Orthwein, Ryszard Patzer, Lidia Snitko-Pleszko, Maria Syska-Pyś, Janina Szymanowska i Daniel Truszkowski.

Wystawione w starostwie płótna zwracały uwagę swą kolorystyką i ujętymi artystycznie tematami związanymi z polskim Bałtykiem. (z)

Zdalny festiwal

Ze względu na Covid-19 tegoroczny Festiwal Zespołów Folklorystycznych „Ziemia Słupska 2020” odbył się w terminie późniejszym i zdalnie. Wygrał go Zespół „Polanki” z Karznicy w gminie Damnica.

Festiwal organizuje Centrum Edukacji Regionalnej w Słupsku. Zwykle odbywał się w czerwcu, w tym roku ze względu na koronawirusa został rozstrzygnięty we wrześniu. Zespoły nadsyłały na adres organizatora swoje nagrania, które zostały udostępnione w internecie i zdalnie, na podstawie przesłuchania oceniło je powołane jury.

Zgłosiło się 10 zespołów z Pomorza, które nadesłały nagrania zróżnicowane pod względem walorów muzycznych oraz jakości. Niektóre nosiły znamiona ingerencji studyjnej. Mimo iż wszystkie zasługiwały na wysokie noty, jury najwyżej oceniło te, które nagrywane były w wersji „Live”.

Po obejrzeniu wszystkich nagrań jury przyznało pierwsze

miejsce i 2 tys. zł Zespołowi „Polanki” z Karznicy, drugie i 1 tys. zł Kapeli Kaszubskiej „Zgoda” ze Słupska, trzecie i 500 zł - Kaszubskiemu Zespołowi Pieśni i Tańca „Kościerzyna” z Kościerzyny.

Wyróżnienia po 250 zł każde otrzymały zespoły „Kobylnica” z Kobylnicy i „Bierkowianki” z Bierkowa. (z)

Olimpiada sportowa

W Ustce w lesku na wydmy przy ulicy Rybackiej podsumowano XXI Powiatową Olimpiadę Dzieci i Młodzieży Szkół Podstawowych (z roczników 2005-2007) prowadzoną w roku szkolnym 2019/2020 oraz zainaugurowano kolejną, rozgrywaną w roku szkolnym 2020/2021. Olimpiady przeprowadza wyłoniony w konkursie Słupski Szkolny Związek Sportowy.

W sportowej olimpiadzie każdego roku bierze udział ok. 4 tys. dzieci i młodzieży szkolnej z powiatu. W ostatniej jej edycji, ze względu na sytuację spowodowaną Covidem-19, nie można było przeprowadzić wszystkich konkurencji, a niektóre



Fot. Archiwum

przeprowadzono później. Mimo to rywalizację sportową udało się podsumować, ogłosić wyniki i nagrodzić najlepszych.

W klasyfikacji generalnej gmin zwyciężyła Ustka (251,5 pkt.), na drugim miejscu uplasowała się gmina Kobylnica (237,5 pkt.), na trzecim - gmina Potęgowie (212 pkt.). W klasyfikacji końcowej młodzieży szkół podstawowych z rocznika 2005-2006 najlepszy okazał się Zespół Szkolno-Przedszkolny w Głównych (92,5 pkt.), przed Szkołą Podstawową nr 3 w Ustce (74

pkt.) i Zespołem Szkolno-Przedszkolnym w Smołdzinie (72 pkt.).

W punktacji dziewcząt zwyciężył Zespół Szkolno-Przedszkolny w Smołdzinie (46,5 pkt.) przed Szkołą Podstawową w Potęgowie (33 pkt.) i Zespołem Szkolno-Przedszkolnym w Głównych (32,5 pkt.). W punktacji chłopców pierwsze miejsce zajęła Szkoła Podstawowa nr 3 w Ustce (62 pkt.), drugie - Zespół Szkolno-Przedszkolny w Głównych (56,5 pkt.), trzecie Szkoła Podstawowa w Kwakowie (34 pkt.).

W klasyfikacji końcowej dzieci szkół podstawowych z rocznika 2007 i młodszych zwyciężyła Szkoła Podstawowa nr 3 w Ustce (89 pkt.) przed Szkołą Podstawową w Potęgowie (71 pkt.) i Zespołem Szkolno-Przedszkolnym w Smołdzinie (68,5 pkt.). W punktacji dziewcząt tych roczników najlepiej wypadła Szkoła Podstawowa w Kobylnicy (51 pkt.), następnie Szkoła Podstawowa w Potęgowie (37 pkt.), Zespół Szkolno-Przedszkolny w Smołdzinie i Szkoła Podstawowa nr 3 w Ustce (po 34 pkt.).

W punktacji chłopców zwyciężyła Szkoła Podstawowa nr 3 w Ustce (55 pkt.) przed Szkołą Podstawową w Kwakowie (45 pkt.) i Zespołem Szkolno-Przedszkolnym w Smołdzinie (37,5 pkt.).

Rozgrywki młodzieży starszej ze szkół ponadpodstawowych powiatu słupskiego prowadzone i sumowane są razem z rozgrywkami młodzieży szkół słupskich. (z)

POŻEGNANIE

JACEK GRACZYK (1953-2020)

Nie żyje burmistrz Ustki

21 października br. do mediów dotarła w godzinach rannych tragiczna wiadomość o śmierci burmistrza Ustki Jacka Graczyka. Zmarł nagle w wieku 67 lat.

W oficjalnym komunikacie na stronie Miasta Ustka przypomniano sylwetkę i dokonania burmistrza: Absolwent Politechniki Łódzkiej, magister inżynier. W latach 1984-1991 prezes Stoczni Ustka. Prywatny przedsiębiorca. Burmistrz miasta Ustka w latach 2002-2006 oraz 2014-2018. Funkcję burmistrza pełnił również w obecnej kadencji, którą wygrał z dużym poparciem mieszkańców. W samorządzie pracował także jako radny powiatu słupskiego. Mąż, ojciec dwojga dzieci i dziadek.

Prywatnie Jacek Graczyk był wielkim miłośnikiem sportu, który sam aktywnie uprawiał. Od lat zawstydzał wszystkich swoimi wynikami w jeździe na rowerze. Jako burmistrz zabiegał o rozbudowę bazy sportowej w mieście. Ostatnio



Fot. J. Maziejuk

choćby przez plany budowy stadionu lekkoatletycznego i rozbudowę Ośrodka Sportu i Rekreacji. Mocno interesował się także gospodarką, która zawsze była dla niego ważna, również w aspekcie rozwoju miasta. Dążył do rozwoju Ustki poprzez turystykę, ale szukał także alternatywnych rozwiązań gospodarczych, które pozwoliłyby na poprawę sytuacji miasta. Był wielkim zwolennikiem rozwoju portu morskiego w Ustce zarówno w sferze gospodarczej, jak i turystycznej.

To podczas jego pierwszej kadencji rozpoczęto rewitalizację starej części Ustki, która konsekwentnie

prowadzona jest do dzisiaj. Dzięki temu Ustka na stałe wpisała się już w turystyczną i historyczną mapę Pomorza i Polski. Mocno wspierał również działania seniorów i osoby promujące Ustkę na zewnątrz. Z jego inicjatywy powstała nagroda Honorowego Ambasadora Ustki, która od wielu lat jest wręczana osobom i instytucjom promującym Ustkę na zewnątrz.

Jacek Graczyk bardzo wierzył w społeczeństwo obywatelskie. Często powtarzał: „Ustka jest silną siłą swoich mieszkańców”. Podejmował wiele inicjatyw, by angażować ustczan w życie miasta, nie bał się trudnych pytań i obrony podjętych decyzji. Oczkiem w jego głowie były prorozwojowe inwestycje, ale od zawsze pamiętał także o wsparciu dla osób bezrobotnych i zagrożonych wykluczeniem.

Nagła śmierć burmistrza Graczyka to ogromna strata dla Ustki.

Śmierć burmistrza Ustki Jacka Graczyka jest też dużą stratą dla powiatu, całego regionu. Był przykładem samorządowca, który doskonale rozumiał swoją rolę i funkcję, jak przyszło mu pełnić. Zdecydowanie zabiegał o sprawy Ustki, która odgrywała zawsze ważną rolę na ziemi słupskiej i na polskim Wybrzeżu. Był odpowiedzialnym

menadżerem. Można było Go podziwiać za odwagę, stanowczość, podejmowane jednoznaczne decyzje.

Starosta słupski Paweł Lisowski na portalu Głosu Pomorza tak zareagował na śmierć Jacka Graczyka: - To straszna wiadomość. Nierzeczywista. Jacek był człowiekiem tak aktywnym. Podziwiałem go za pokonywanie kilkudziesięciu kilometrów dziennie na rowerze. W działalności samorządowej starałem się od niego czerpać i uczyć nastawienia proinwestycyjnego. To był menadżer, nie administrator. Miał swoją listę inwestycji i skutecznie tym procesem zarządzał. Bardzo dobrze układała nam się współpraca. Chciał, by w Ustce nadal funkcjonowała prowadzona przez powiat szkoła średnia. Rozwijał infrastrukturę sportową i chętnie ją udostępniał. Pojawiał się na naszej spartakiadzie osób z niepełnosprawnościami, pozdrawiał każdego. Był konkretnym człowiekiem. Miał sporo inicjatyw wychodzących poza Ustkę. To on nas, samorządowców, mobilizował. Potrafił dobierać współpracowników.

Pogrzeb Jacka Graczyka odbył się 26 października. Został pochowany na cmentarzu komunalnym w Ustce.

Z. Babiarsz-Zych



Zza pleców premiera

Spora część obywateli, która w minionych wyborach dawała wyraz niezadowoleniu z działalności rządu w czasach kryzysu epidemicznego, oczekiwała zmian w polityce rządzących. 6 października wreszcie do rekonstrukcji rządu doszło, ale nie takiej, jakiej oczekiwano.

Szybko, powiedziałbym - nawet zbyt szybko po wyborach prezydenckich partia rządząca zaczęła wycofywać się z obietnic wyborczych.

Stosując najpierw szachowe zagranie z „piątką Kaczyńskiego”, nazywaną także „piątką dla zwierząt” zakazującą hodowli zwierząt na futra i wprowadzającą zakaz rytualnego uboju, które prawdopodobnie miały skierować uwagę na problemy ważne etycznie, ale jednocześnie odwrócić ją od narastających się kłopotów z epidemią. Gdzieś w jej zanadrzu tkwił też zapewne zamysł podniesienia autorytetu ponownie wybranego na urząd prezydenta Andrzeja Dudy, bo ten ogłosił, że sprawy dotyczące w „piątce...” interesów wsi nie zostaną przez niego

poparte i ustawę zawetuje.

Trudno zgadnąć, kto tak naprawdę rozgrywał tę partię szachów pomiędzy partią rządzącą i opozycją. Wiadomo przecież, że w szachy zespołowo się nie gra, to gra dla dwóch partnerów. Gra wymagająca wyjątkowej uwagi i skupienia oraz umiejętności przewidywania kolejnych ruchów figurami szachowymi nie tylko u siebie, lecz także u przeciwnika.

Jeśli zagrywka z nową ustawą wymyśloną na Nowogrodzkiej, nie przekonująca społecznie z tymi, których dotyczyła, byłaby dobrze przemyślana, nie wywołałaby pewnie zamieszania, wręcz kryzysu w partii rządzącej. Rolnicy orzekli, że głosujący za nią posłowie wykazali się bezmyślnością, i na

znak protestu ułożyli przed sejmem 256 główek kapusty, co miało symbolizować wynik poparcia w jej sejmowym głosowaniu.

„Piątka...” tak naprawdę nie przykryła głównego problemu dotyczącego uniknięcia odpowiedzialności karnej za błędne decyzje premiera Mateusza Morawieckiego w sprawach wyborów korespondencyjnych oraz za korupcyjne zakupy respiratorów, przyłbic i maseczek dokonane przez zarządzających ministerstwem zdrowia. Stworzyła nowe problemy, wywołując masowe protesty przedsiębiorców i rolników. Po raz pierwszy podczas sejmowej debaty doszło do sprzeniewierzenia się dyscyplinie partyjnej, za które prezes Kaczyński zawiesił 15 posłów swojego



Fot. A. Guz/KPRM

czasach kryzysu epidemicznego, oczekiwała zmian w polityce rządzących. Zwodzona ich obietnicami rekonstrukcji rządu. Obiecano ją już w lipcu zaraz po wyborach, potem termin jej przesuwano, uzasadniając, że to z potrzeby doskonalenia jej planu. 6 października wreszcie do rekonstrukcji rządu doszło, ale nie takiej, jakiej oczekiwało. Poprzedzając ją kryzys partyjny sprawił, że ujawniły się prawdziwe intencje rządzących. Nie są nimi ani głębokie zmiany w strukturach urzędniczych, ani partyjnych.

„Piątka...” nadal powoduje napięcia społeczne, a dotknięci jej ustaleniami rolnicy i przedsiębiorcy, protestując blokując pod przewodnictwem byłego kandydata na prezydenta Polski w wyborach 2015 i 2020 roku, przedsiębiorcy Pawła Tanajło ważne węzły komunikacyjne na terenie kraju. Podali się do dymisji politycy partii rządzącej zajmujący się ochroną zdrowia: minister i wiceminister - odpowiedzialni za błędną politykę zakupu respiratorów i przyłbic. Tych pierwszych wciąż nie ma, tymczasem lawinowo wręcz rośnie liczba zakażeń Covid-em i zgonów, wypełniają się szpitale, zaczyna brakować w nich też miejsc i personelu.

Oddalają się nadzieje, że Polska niebawem będzie mieć skuteczną szczepionkę przeciwko Covidowi. Ludzie uwierzyli epidemiologom, że należy szczepić się przeciwko grypie, bo to osłabi działanie koronawirusa. Do szczepień zapisało się ponad dwadzieścia milionów chętnych, jest koniec października, a szczepionek nie ma.

Ministerstwo Zdrowia ujawniło, że dokonano zakupu jednego miliona dwustu tysięcy szczepionek. Nie spodziewano się takiego dużego zapotrzebowania. Ale tego ponad miliona szczepionek w aptekach też brak.

Dokonana rekonstrukcja rządu nie daje recepty na wiele problemów. Sprawiała, że w wyniku szachowej zagrywki wymiany pionka na hetmana, a jednocześnie dokonania roszady królem, może dojść do poważniejszego ataku na opozycyjnego przeciwnika, ułatwiając jego zaszachowanie i powodując końcowy mat. Teoretycznie, bo pole na którym rozgrywa się ta partia, zostało u „białych” mocno osłabione. Prezes Jarosław Kaczyński, którego część wyborców widziała nawet „naczelnikiem państwa” został tylko wicepremierem. Wyszedł jednak wreszcie z cienia władcy z załką na Nowogrodzkiej i stanął w czołówce rządu. Ma pełnić rolę poskramiacza

zapędów trzech ministrów resortów siłowych: Ministra Sprawiedliwości, Spraw Wewnętrznych i Obrony Narodowej. Zwłaszcza ma poskromić sprawiającego ostatnio największe kłopoty, niemalże zakończone rozpadem koalicji rządzącej, Zbigniewa Ziobry.

To posunięcie wydaje się ostatecznie rozwiązać wątpliwości, kto planowany jest na przyszłego następcę prezesa PiS. W sensie logiki prawnej, nie byłby to jednak oczekiwany społecznie wybór, gdyż część wyborców miała nadzieję, że premier Morawiecki też zostanie zastąpiony kimś nowym.

Ciśnię się pytanie: czy zza pleców premiera Jarosław Kaczyński da sobie radę z problemami, w które uwikłała się Zjednoczona Prawica? Czy wyjdzie zwycięsko z trwającej nadal wojny na argumenty pomiędzy Unią Europejską i Polską o sądownictwo? Czy poradzi sobie z rozpętaną niepotrzebnie kampanią propagandową skierowaną przeciwko ludziom LGBT, a także z decyzją Sądu Najwyższego o bezzasadności odpowiedzialności zbiorowej preforsowanej przez sejm w stosunku do kilkunastu tysięcy emerytów obszaru dawnych służb bezpieczeństwa i LWP?

Na rozwiązanie czekają ponadto coraz trudniejsze problemy związane z pandemią. Nie ma społecznego poparcia dla nowego ministra edukacji pośle Przemysław Czarnecki. Spora część obywateli, w tym rodziców, studentów i młodzieży nie chce powrotu do czasów feudalnego poddaństwa. Nie godzi się z tym, że w kraju, który do niedawna przodował w przemianach społecznych, usiłuje się prowadzić polityczną krucjatę katolicką.

Skutków poczynań rządowych w kwestiach LGBT doświadczył sam prezydent Andrzej Duda podczas otwarcia nowego roku akademickiego. Protestujący studenci wykrzyczeli, że ma krew na rękach. Budowanie barykad w postaci gromadzenia sił porządkowych czy zachowań ludzi zawsze prowadzi do zwarcia. A to się zazwyczaj źle kończy.

Nie takich rozwiązań systemowych oczekiwali Polacy po powyborczej rekonstrukcji rządu. Przed nami jednak teraz najważniejsza próba: odpowiedzialności, by jak najmniej dotkliwie przejść przez drugą falę pandemii. Czy sprawi ona, że zmodyfikowany rząd oraz uaktywniona po wyborze nowego szefa klubu opozycja, zewrą szeregi i podejmą współpracę?

Jan Stanisław Smalewski
Gdańsk

ugrupowania, w tym ministra rolnictwa Jana Krzysztofa Ardanowskiego, który potem podał się do dymisji. Przeciwno ustawie zagłosowali wszyscy posłowie Polski Solidarnej Zbigniewa Ziobry, wstrzymali się zaś od głosu posłowie Porozumienia Jarosława Gowina.

Kryzys do jakiego doszło w Zjednoczonej Prawicy spowodował głębokie zawirowanie polityczne grożące nie tylko doraźnymi konsekwencjami, ale nawet dojściem do rozpadu koalicji i nowych wyborów lub powstania nowego rządu mniejszościowego. Uzewnętrzniał publicznie nawarstwiający się miesiącami konflikt pomiędzy premierem rządu a ministrem sprawiedliwości. Doprowadził do wielodniowych debat publicznych na te tematy, długich dziennej i nocnych rokowań na Nowogrodzkiej, żenujących kompromisów i oświadczeń dla zachowania politycznych stanowisk, a także utrzymania - o czym nie omieszkało ogłosić publicznie - intratnych stanowisk dla swoich ludzi w państwowych spółkach.

Spora część obywateli, która w minionych wyborach dawała wyraz niezadowoleniu z działalności rządu w

Zostały szachy polityczne

Powstawanie rozmaitych stref zagrożeń powoduje że rzadziej odwiedzamy rodziny, zwłaszcza zamieszkujące dalej, w innych wsiach i miasteczkach, nie mówiąc już o kontaktach z tymi, którzy pozostają poza granicami kraju.

Współcześnie - ubolewam z tego powodu, bo jedynym partnerem pozostał dla mnie komputer (system online) - gra w szachy nie jest już tak popularną, jak bywało to w latach mojej młodości. I nie tylko gra w szachy. Rzadko kiedy już odbywają się spotkania towarzyskie skupiające brydżystów, mało kto grywa w kierki.

Młodzi najchętniej spotykają się przy grillu, a i ta forma relaksujących kontaktów towarzyskich ma swoje ograniczenia, związane przede wszystkim z kalendarzem: wiosną i latem. Jesienią i zimą do niedawna pozostawały jedynie różnej postaci spotkania towarzy-

w tym oglądanie seriali telewizyjnych, rzadziej też słuchanie radia i dobrej muzyki, lub czytanie książek. Prasa w tym łańcuchu zainteresowań intelektualnych powoli schodzi na margines.

Wszystkie te zachowania reguluje wartki nurt codzienności, zmienność zainteresowań, a przede wszystkim coraz nowocześniejsze techniczne wypełnianie luki, jaką w naszym intensywnym życiu tworzył czas wolny. Tak bywało, było do niedawna, bo... ten nasz czas wolny współcześnie ofiarowany nam w warunkach epidemii koronawirusa podlega dalszej - niestety wymuszonej - deformacji.

Zmuszeni do zachowania ostrożności w kontaktach międzyludzkich, do stosowania się do różnych sanitarnych obostrzeń, powoli odzwyczajamy się od nawyków regularnego uczestniczenia i korzystania z dóbr kultury, chodzenia do kin i teatrów, udziału w imprezach masowych, a nawet - czego zwłaszcza doświadczają ludzie religijni - duchowego obowiązku udziału w obrzędach religijnych związanych z Kościołem.

Rodzice dotychczas pełnymi garściami korzy-

stający z opieki babć i dziadków nad latoroślami, z uwagi na duże zagrożenie epidemiologiczne tychże opiekunów, którzy znaleźli się w tak zwanej grupie podwyższonego ryzyka, muszą sobie często radzić bez ich udziału, co w konsekwencji powoduje zluzowanie kontaktów rodzinnych i powolne wystudzanie emocji osobistych o charakterze spajającym wieloosobowe rodziny.

Gry i zabawy odchodzą w zapomnienie, zastępują je inne rozrywki wśród których u osób starszych dominują: przesiadywanie przed telewizorem,

stający z opieki babć i dziadków nad latoroślami, z uwagi na duże zagrożenie epidemiologiczne tychże opiekunów, którzy znaleźli się w tak zwanej grupie podwyższonego ryzyka, muszą sobie często radzić bez ich udziału, co w konsekwencji powoduje zluzowanie kontaktów rodzinnych i powolne wystudzanie emocji osobistych o charakterze spajającym wieloosobowe rodziny.

Psychologicznie podchodząc do tematu, warto zwrócić uwagę również na kontakty komunikacyjne związane z naszym przemieszczaniem się. Powstawanie rozmaitych stref zagrożeń, w których okresowo bywa ze względu na epidemię bardziej niebezpiecznie, powoduje że rzadziej odwiedzamy rodziny, zwłaszcza zamieszkujące dalej, w innych wsiach i miasteczkach, nie mówiąc już o kontaktach z tymi, którzy pozostają poza granicami kraju.

Wszystko to dzieje się na naszych oczach, w naszej ograniczanej przestrzeni, a na dodatek ma charakter wymuszony nie tylko poprzez zewnętrzne nakazy i rygory, ale także poprzez rodzący się w nas samych strach - obawy o nasze życie, o los najbliższych, o bezpieczeństwo ogólne, warunki w których przyjdzie nam żyć, jeśli czas epidemii będzie się przedłużał, ale i po epidemii także.

Nie jest to bez znaczenia dla naszej psychiki i naszego ogólnego samopoczucia, a w dalszej perspektywie i zdrowia. Nasilają się rozmaite depresje, rośnie skala zaniepokojenia, zniecierpliwienia i frustracji. Z drugiej strony u niektórych ludzi rodzi się swoista znieczulica - co w konsekwencji musi odbić się na ogólnej kondycji społeczeństwa, przewartościowywaniu jego zachowań (nie zawsze korzystnych, ale także i nie zawsze przewidywalnych). Groźnym zjawiskiem jest także to, iż skupianie głównej uwagi służb medycznych na walce z koronawirusem zaczyna negatywnie wpływać na pogarszanie się stanu zdrowia społeczeństwa w obszarach innych zagrożeń chorobowych, na które albo brakuje czasu, albo miejsca i środków. Sami chorzy też częściej lekceważą objawy innych chorób, nie zgłaszając się z nimi w porę do lekarzy w obawie, żeby w szpitalu, przychodni, nie zetknąć się dodatkowo z koronawirusem.

Nowym, niebezpiecznym zjawiskiem jest zmniejszanie się bazy zarówno szpitalnej w sensie medycznym, jak i obsługującego go personelu. Koronawirus coraz częściej dotyka bowiem



Fot. pixabay.com

także lekarzy i personelu medycznego. Wirus nie wybiera, coraz częściej ci, którzy całą swoją energię w pracy zawodowej poświęcali trosce o nasze zdrowie, muszą teraz także zwiększyć wysiłki o utrzymanie własnego bezpieczeństwa i sprawności psychofizycznej.

Zatem - jak mawiali rolnicy - koń jaki jest każdy widzi. Parafrazując: sytuacja jaka jest, każdy widzi. Każdy rozumie ją i ocenia. Tylko co z tego? Pozwalając sobie na chwilę wspomnień wróć do wspomnianych na wstępie szachów. Mieszkalem we Wrocławiu przy ulicy Wielkiej, obok na Łódzkiej mieszkał mój wspaniały mistrz - nauczyciel ekonomista, docent Stefan Linek. Oczywiście wiadomo czym najczęściej kończyła się dla mnie partyjka z mistrzem w sobotni wieczór - dostawałem tak zwanego łupnia. Ale byłem pojętnym uczniem i z czasem... późniejszy profesor też doczekał się szacha mata.

Nie zapomnę, jak kiedyś po takim zdarzeniu, wychodząc od mistrza natknąłem się na Mirosława Hermaszewskiego. Państwo Hermaszewscy mieszkali po przeciwnej stronie ulicy i wracali do domu. A że akurat wcześniej gruchnęła wiadomość, że to właśnie Polak, major Hermaszewski poleci z Rosjaninem w kosmos i z ogromnym podekscytowaniem rozmawialiśmy przy szachach o tym fakcie, zapominając że jestem po cywilnemu, z wrażenia machnąłem przyszlenu kosmonautcie honor do... pustej głowy.

To były czasy. Polak w kosmosie!!! Polska była na ustach i oczach całego świata, Polacy byli dumni ze swoich polityków i bohaterów, świętowanie nie miało końca. A teraz? Mimo iż szachy nie są już modną grą dla doskonalenia zmysłów politycy rozgrywają wciąż jakąś dziwną grę. I nie chodzi w niej o doskonalenie zmysłów, chodzi raczej o wykorzystywanie posunięć szachujących przeciwnika. O to, by zwykłymi pionkami zapędzić go w kozi róg, by na koniec dać mu przysłowiowego łupnia, po drodze stosując kilka posunięć typowo klasycznych typu roszada, gambit, kontrgambit...

Takie mamy teraz szachy, a spotkania towarzyskie, spotkania brydżystów odchodzą w niepamięć.

Jan Stanisław Smalewski
Gdańsk

Fot. pixabay.com



Wakacyjny czas pandemii

- Ta pandemia wystarczająco już spaprła nam codzienne życie. Przekreśliła plany i ograniczyła marzenia. Jeśli miałoby być tak dłużej, trudno byłoby mi się z tym pogodzić.

Moje wnuki mają to szczęście, że mieszkają na wsi i śmiało mogą jeździć rowerami po polnych drogach. Ponadto starszy pomaga tacie w warsztacie i zarabia. Młodszy wynosi śmieci, sprząta kojce psa, ogląda bajki, rysuje, lepi i gra na telefonie. Po południu wsiadają do stuningowanego samochodu terenowego Jimny i odbywają rajd po wertepach.

Nad jeziorem spotykam mamę z trójką dzieciaków w wieku od trzech do ośmiu lat. Przyprawdza je tu każdego dnia, bez względu na pogodę, by mogły wejść do wody, pomoczyć się, pochłapać i potem wrócić na podwórko. Jeśli jest chłodno, to kąpiel trwa tylko kilka minut, a potem wycieranie i ubieranie ciepłych dresów. Czy nie obawia się, że

się przeziębą? Odpowiada, że musi je porządnie zahartować, by nie chorowały jesienią, gdy wrócą do przedszkola i szkoły. Ona musi wracać do pracy i nie zdzierzy zwolnień na dzieci. Od marca siedzi w domu i ma już dosyć. Dzieciaki patrzą na mnie. Najstarszy z powagą przytakuje: - My też chcemy wrócić do szkoły! Tam jest fajnie. Trochę głośno, ale można pogadać!

Zosia miała jechać na kolonie w góry. Odwołano. Czas spędza w domu. Narzeka, że wszystko odwołano - zabawa na koniec ósmej klasy, wycieczka do Poznania. Z nudów podjęła się opieki nad malcami sąsiadki i codziennie spędza z nimi po sześć godzin. Sąsiadka jej płaci. Trochę się bała, bo to obowiązek i odpowiedzialność,

ale teraz jest zadowolona. Zarabia i już planuje, co sobie kupi. Sąsiadka też zadowolona, bo mogła wrócić do pracy na pół etatu.

Wszystkie plany związane z latem musiały ulec zmianie. Tylko nie praca, bo pracować trzeba. Matki martwią się, że jeśli nie wróci stacjonarne nauczanie, to dalej tak żyć się nie da. Są wyczerpane, zmęczone dezorganizacją życia. Przez to cierpią też dzieci.

Na polach kwitną ziemniaki i gryka. Dojrzewa jęczmień. W lesie jagody i w tym roku więcej jagodziarzy. Pojawiły się kurki - są grzybiarze. Wśród moich znajomych zapanowała moda na eksperymenty kulinarne z owocami. Pani Agnieszka jedzie do lasu już o piątej rano. Wraca do domu około jedenastej. Wtedy do akcji wkracza mama i ciocia. Robią z jagód dżemy, kompoty, rogaliki, pierogi, pieką drożdżówki. Przyznają, że w ubiegłych latach im się nie chciało. Ale teraz?... Wakacje w czasie pandemii znacznie różnią się od wakacji normalnych. Mimo znoszenia kolejnych restrykcyjnych zaleceń, nadal pozostaje obowiązkowa maseczka, zachowanie bezpiecznej odległości. Obowiązują płyny dezynfekcyjne i telefoniczne załatwianie spraw.

Nadal najważniejszym towarzyszem pozostaje telewizor i program. Skończyła się kampania wyborcza i powoli pojawiają się filmy lekkie, łatwe, przyjemne. Za niewielkie pieniądze można sobie wykupić filmy na kanale NETFLIX.

- Czwartek jest takim dniem, gdy o dwudziestej pierwszej zasiadamy z córką i sąsiadką przed telewizorem i wybieramy sobie film - opowiada pani pod pięćdziesiątkę. - Mężczyźni nie mają wstępu do pokoju. Herbatka, naleweczka, kawałek ciasta i oglądamy. Z kolei piątek należy do naszych mężczyzn - śmieje się moja rozmówczyni. - To telewizyjny wieczór komedii. Jakżeż oni wtedy rechoczą!

Starożytni Grecy oglądali dramaty wystawiane w teatrze, traktując je jako katharsis. Zagłębiając się w dramaty bohaterów i przeżywając z nimi tragizm losów, wychodzili oczyszczeni, pogodzeni z nieuchronnością cierpienia, fatum, przeznaczenia.

Czas pandemii spowodował, że ludzie wrócili do czytania. Największą popularnością cieszą się powieści obyczajowe.

- Zawsze czytałam wszystko i namiętnie. Ale obecny czas i utrudnienia w kontaktach spowodowały w moich preferencjach małą rewolucję. - mówi

jedna z kobiet. - Najchętniej czytam powieści mające baśniowe zakończenie, czyli o tym jak żyli długo i szczęśliwie - na kartkach. W życiu jest na ogół inaczej. Jeśli pisarz spróbuje zacząć swoją powieść od tego cudownego momentu, niechybnie dalsze losy bohaterów spaprze.

- Ta pandemia wystarczająco już spaprza nasze życie. Przekreśliła plany i ograniczyła marzenia. Jeśli miało być tak dłużej, trudno byłoby mi się z tym pogodzić - mówi rozgoryczona młoda kobieta. - Mieliśmy polecieć na wakacje do Dominikany. Rok czasu przygotowaliśmy się, bo to miała być nasza podróż poślubna! I co? Nici wyszły z wymarzonej podróży!

Na polach pojawiają się kombajny zbożowe. Szymon pracuje z ojcem w polu. Wieczorem trochę pocztuje z kolegami i czeka na powrót do szkoły.

- Gdyby nie wirus, spędziłbym trzy tygodnie na obozie, trochę u rodziny na Mazurach - słyszę. - A tak? - macha zrezygnowany ręką.

Franek dostał się do wybranej szkoły, ale nawet nie wie, gdzie ona jest. Rodzice obiecali, że go zawiozą i pokażą. Gdyby nie zawieszenie zajęć szkolnych w marcu, wiedziałby wszystko.

- Każdego roku szkoły średnie organizowały dni otwarte i ósmoklasiści jeszcze przed złożeniem dokumentów wiedzieli, gdzie mieści się szkoła, którą wybrali i jaki jest w niej rozkład sal - mówi chłopak.

W sierpniu Hania bierze ślub. Wesele z udziałem kilkudziesięciu gości zaplanowane zostało jeszcze w ubiegłym roku. Było już wszystko „zaklepane” od dawna. Martwi się, czy coś się nie zmieni? Bo są komunikaty o zakażeniach na weselach. Mogą zostać wprowadzone dodatkowe ograniczenia.

Ogląda programy o ślubnych kreacjach, o przygotowaniach do tej ważnej chwili. Przed nią paniński wieczór. Wszystko ma być jak z bajki, niezwykle. Jakby po ślubie nie było już magii, jakby uczucie spowszedniało, a wieczór wolności stał się namiastką?

- Dlaczego to ma być takie niezwykle i czy ta niezwykłość nie może się przenieść do okresu małżeńskiego? - zapytałam. - Czy nie wiesz, ciociu, że po ślubie już nic nie będzie takie samo? To będzie już czas kompromisów, ustępstw, kłótni i nieporozumień. Nikomu nie będzie już zależało - usłyszałam. - Ja wiem, że nie musi tak być. Ale najczęściej tak jest!

Teresa Nowak, Łupawa

„Białe Bociany” za osiągnięcia w kulturze wręczane są w powiecie słupskim od 2003 roku. Przez pierwsze dwa lata były to tylko nagrody honorowe, od 2005 „Bocianom” towarzyszą gratyfikacje finansowe. Ponadto przyznawane są dodatkowe nagrody pieniężne. Od początku przyznawane są każdego roku trzy „Białe Bociany” i kilka nagród finansowych. Tak było też w tym roku, choć rozdanie nagród z powodu Covid-19 odbyło się z dużym opóźnieniem. Na zgłoszenia zamiast do końca kwietnia czekali do końca lipca. We wszystkich wcześniejszych edycjach „Białe Bociany” były przyznawane zwykle pod koniec maja, podczas obchodzonego Dnia Działacza Kultury lub na początku czerwca.

Do tegorocznej nagrody zgłoszonych zostało 16 kandydatur. Z wszystkimi zapoznana się powołana przez Zarząd Powiatu komisja, po ich ocenie zaproponowała Zarządowi kilkanaście do nagrodzenia, w tym trzy do statuetki „Białego Bociana 2020”. Decyzją Zarządu Powiatu w tym roku „Białe Bociany” i nagrody pieniężne otrzymali: Zorza Sędzicka z Ustki - za rozwijanie zainteresowań i uzdolnień artystycznych - wokalnych i teatralnych u dzieci i młodzieży z gminy Ustka, za bogatą działalność społeczną na rzecz kultury i jej upowszechniania; Krzysztof Szpot - także z Ustki - za wieloletni dorobek artystyczny, aktywność producencką oraz pracę z wokalistkami i zespołami z miasta Ustka i gminy Ustka oraz Krzysztof Plebanek - za długoletnią pracę z zespołem „Bierkowiński”, wieloletnie artystyczne wspieranie uzdolnionej wokalnie młodzieży, za nagrodzone autorskie kompozycje i aranżacje muzyczne.

Zorza Sędzicka przez wiele lat była dyrektorką Szkoły Podstawowej w Objeździe. Od ośmiu lat korzysta już z praw emerytalnych, ale swojej aktywności nie przerwała. Współpracuje z Centrum Kultury Gminy Ustka. W swoim życiu zarażała do śpiewania i muzykowania wiele młodych dziewczyn. Ma niezwykłą pasję i dar do szlifowania młodych talentów oraz prowadzenia zespołów artystycznych.

Krzysztof Szpot pochodzi ze śląskiej rodziny muzycznej. Śpiewał w Centralnym Zespole Wojska Polskiego. Jest laureatem Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu. W 2006



„Białe Bociany 2020” dla twórców i animatorów kultury

24 września br. w Centrum Kultury i Bibliotece Publicznej Gminy Słupsk w Głobinie uroczyste uhonorowano laureatów „Białego Bociana 2020” – dorocznych nagród Starosty Słupskiego przyznanych w dziedzinie twórczości artystycznej, upowszechniania i ochrony dóbr kultury. Z powodu nasilającej się pandemii uroczystości miały charakter skromniejszy niż zwykle, odbyły się w gronie samych nominowanych do statuetek i nagrodzonych.

został okrzyknięty najlepszym wokalistą i instrumentalistą w kraju! Odbył na Pomorzu i niemal w całej Polsce setki koncertów. Suportował Czerwone Gitary, Skaldów, Lady Pank, Marylę Rodowicz. Współpracował z Andrzejem Rybińskim i Stanem Borysem. Od wielu lat działa w Ustce i gminie Ustka. Prowadzi zespoły wokalne. Utworzył profesjonalne studio, w którym nagrywa płyty początkującym artystkom. Ze swoimi utworami nagrał pięć płyt.

Krzysztof Plebanek był muzykiem i aranżerem w Teatrze Dramatycznym w Słupsku, członkiem, pianistą, kompozytorem i aranżerem w słupskim kabarecie De-Ka-De. Występował na Festiwalu PAKA i Studenckim Festiwalu Piosenki w Krakowie, na Spotkaniach Zamkowych „Śpiewajmy Poezję” w Olsztynie, Ogólnopolskich Spotkaniach Śpiewających Poezję „Recital” w Siedlcach. Od dwudziestu pięciu lat jest współtwórcą sukcesów zespołu „Bierkowianki” z Bierkowa. Otrzymał z nim Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki. Zainicjował powstanie Studia Piosenki, którego uczestnicy stanowią obecnie kadrę aktorską i wokálną scen polskich, m.in. Teatru Muzycznego w Gdyni, Teatru Muzycznego w Łodzi,

Teatru Studio Buffo w Warszawie. Jest laureatem wielu nagród za kompozycje i aranżacje muzyczne.

Nagrodami pieniężnymi Starosty Słupskiego w tym roku uhonorowanych zostało siedem osób. Malarka Ewa Grzędzewska ze Starkowa otrzymała nagrodę za podejmowane działania artystyczne i aktywność w upowszechniania kultury w środowisku wiejskim. Jest uznaną malarką. Należy do Klubu Plastyka im. Stefana Morawskiego w Słupsku i Związku Malarzy Marynistów w Ustce. Ma ogromny dorobek, który eksponuje na licznych wystawach. Jej twórczość i aktywność na polu upowszechniania kultury zostały dostrzeżone i uhonorowane już przez Marszałka Województwa Pomorskiego oraz Starostę Słupskiego. Teraz znowu zasłużyła na uznanie.

Włodzimierz Lipczyński ze Słupska otrzymał nagrodę za aktywność publicystyczną. Ten wieloletni emerytowany nauczyciel jest wielkim miłośnikiem historii, turystyki i podróży. Został już uhonorowany „Białym Bocianem” w 2015 roku. Od dwunastu lat oddaje się pracy dziennikarskiej i publicystycznej. Publikuje swoje teksty w dwumiesięczniku Powiat Słupski i jego stałym dodatku Wieś Tworząca.

Kolejny laureat - Maciej Flisak z Rdzikowa zatrudniony jest w Centrum Kultury Gminy Słupsk jako specjalista ds. kultury i specjalista ds. projektów. Nagrodę otrzymał za pozyskanie ponad miliona złotych na rozwijanie działalności kulturalnej w gminie Słupsk. Wykazuje się niezwykłą skutecznością w pozyskiwaniu środków zewnętrznych. Pozyskał m.in. pieniądze na Akademię Młodego Plastyka, na Aktywnych, którzy mogą więcej, na przedstawienie Hamleta we wsi Głucha Dolna, na plener malarski w Swołowie, na projekty: Kulturowo i wielopokoleniowo wokół świetlicy wiejskiej, Razem ku kulturze, Historia wokół nas. Ostatnio pozyskał środki na Rozwój społeczny poprzez działania kulturalne oraz na Przebudowę i doposażenie obiektu „Kuznia Rybacka” w Wiklinie.

Bogusław Cyrny z Łupawy został uhonorowany za promowanie i upowszechnianie łupawskich megalitów - dziedzictwa archeologicznego Doliny Łupawy. Jego działalność sprawiła, że gmina Potęgowo dowiedziała się, iż posiada niezwykle bogactwo kulturowe - łupawskie megality sprzed pięciu tysięcy lat - zachowane kamienne konstrukcje dawnych grobowców. Jest ich trzydzieści, mają po 50-60 metrów

długości i 10 metrów szerokości. Kamienne głązy wysokie są na 70-80 centymetrów. Nad Łupawą zachowało się największe na ziemiach polskich skupisko grobowców megalitycznych, starszych nawet od egipskich piramid! Pan Bogusław organizuje konferencje, lekcje edukacyjne dla dzieci w szkołach, tworzy kluby Młodego Archeologa, utworzył ścieżkę dydaktyczną, zainicjował badania naukowe nad megalitami, doprowadził do rekonstrukcji obiektu megalitycznego w jego rzeczywistych wymiarach - jak dotąd jedyne w Europie.

Wśród nagrodzonych znalazł się także Marian Sołtysik z Kępic. Nagrodę dostał za prace z Kołem Gospodyń Wiejskich „Kępiczanki” z Kępic i szczególnie pasję do muzyki. Ten z wykształcenia i zamiłowania muzyk oraz pedagog grał w zespołach estradowych na terenie całego kraju, w byłej NRD, Czechosłowacji i ZSRR. Wspierał muzycznie zespół Bogusława Meca. Od ponad dwudziestu pięciu lat działa w gminie Kępice, prowadził grupy wokalne, uczył indywidualnie gry na instrumentach muzycznych. Od pięciu lat pracuje z Kołem Gospodyń Wiejskich „Kępiczanki”, które swoimi występami artystycznymi promują folklor ludności napływowej na pomorskie tereny.

Elżbieta Czarnuch z Widzina otrzymała nagrodę za wieloletnią pracę społeczną i szczególne zaangażowanie się na rzecz kultury. Dwadzieścia pięć lat prowadzi wiejską świetlicę w Widzinie. Jej aktywność zawodowa i społeczna nadała życiu kulturalnemu w tej miejscowości dużego tempa. Każdą wolną chwilę poświęca kulturze. Długa jest lista nagród zdobytych z jej udziałem. Popularyzuje dawne potrawy, zwyczaje, rękodzieło, florystykę, samorodnych twórców, czytelnictwo. Integruje społeczność lokalną.

Gabriela Siecińska z Grabna jest bardzo młodą osobą i tegoroczną stypendystką Starosty Słupskiego. Została nagrodzona za sukcesy artystyczne odniesione w 2019 roku oraz aktywne zaangażowanie się w działania Bałtyckiej Galerii Sztuki Współczesnej. Realizuje się w działaniach plastycznych i fotograficznych. Rok 2019 był dla niej wyjątkowo udany, otrzymała m.in. nagrodę Prezydenta Słupska w XI Konkursie Plastycznym „Niekontrolowany obszar wrażliwości”, zdobyła drugie miejsce w XVIII Wojewódzkim Konkursie Twórczości Regionalnej Dzieci i Młodzieży „Mój region”, wyróżnienie w konkursie

„Pociąg do kultury” - za sześcioletnie uczestnictwo w działaniach Bałtyckiej Galerii Sztuki Współczesnej w Słupsku. Brała udział w półrocznym projekcie fotograficzno-warsztatowym „Światłem pisanie” zakończonym wernisażem w słupskiej Baszcie Czarownic, Żydowskim Domu Przedpogrzebowym w Słupsku i Latarni Morskiej w Ustce. Jej prace wystawione były także w Centrum Aktywności Twórczej w Ustce.

Do tegorocznego „Białego Bociana 2020” nominowano również: Wiolettę Kaszubę - instruktorkę śpiewu w Domu Kultury w Ustce, Jana Wilda - prezesa Stowarzyszenia Liga Morska i Rzeczna w Słupsku, animatora i organizatora kultury marynistycznej, Orkiestrę Gminnego Centrum Kultury i Promocji w Kobylnicy, Emilię Konicer - poetkę z Węgorzyna w gminie Kępice, Eugeniusza Deszczyków - działacza kulturalnego, organizatora akcji charytatywnych i imprez kulturalnych z Kępic oraz Wojciecha Czubajewskiego - rzeźbiarza z Kępic. Wszyscy otrzymali dyplomy potwierdzające tę nominację.

Uroczystość rozdania nagród uświetniły występy artystyczne młodych wokalistów: Ringo Teodorovica, Rokasany Białek i Katarzyny Wołoszyn oraz Tadeusza Picza - słupskiego filharmonika, też pracującego z uzdolnioną muzycznie i wokalnie młodzieżą, laureata „Białego Bociana” w 2015 roku.

Po uhonorowaniu wszystkich nominowanych starosta słupski Paweł Lisowski podziękował Mariuszowi Smolińskiemu - dyrektorowi Centrum Edukacji Regionalnej w Słupsku za sześć lat kierowania tą samorządową instytucją kultury. W wyniku przeprowadzonego konkursu wyłoniono nowego dyrektora - Sandrę Winnicką, która zastąpi M. Smolińskiego i obejmie swoje obowiązki 3 października br.

* * *

Organizatorzy tegorocznych uroczystości w Głobinie: Starostwo Powiatowe i Centrum Edukacji Regionalnej w Słupsku dziękują Gminie Słupsk za umożliwienie i pomoc w zorganizowaniu w Centrum Kultury i Bibliotece Publicznej rozdania „Białych Bocianów 2020”. Uroczystość miała sprawny przebieg, odbyła się w miłej atmosferze, z pewnością pozostanie na długo w pamięci tegorocznych laureatów nagród, którzy mieli możliwość odebrania ich w pięknej, nowoczesnej sali wystawienniczej.

Zbigniew Babiarz-Zych, Słupsk

- W 2004 roku rozpoczęła Pani pracę w Pracowni Konserwacji Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku, a kilka miesięcy później w Delegaturze w Słupsku Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Gdańsku. Po przejściu w 2012 roku na emeryturę Zdzisława Daczkowskiego, długoletniego konserwatora zabytków w Słupsku, otrzymała Pani awans na obecne stanowisko kierownika delegatury. Proszę powiedzieć, jaki jest zakres terytorialny działającej delegatury słupskiej, scharakteryzować krótko obiekty objęte rejestrem zabytków na naszym terenie. Jakiej klasy jest najwięcej zabytków i w jakim są stanie jakościowo-technicznym? Jakiej mają znaczenie pod względem funkcji, wartości historycznych, architektonicznych i innych?

- Słupska delegatura zajmuje się wszystkimi obiektami zabytkowymi na terenie powiatów: słupskiego, bytowskiego, człuchowskiego i lęborskiego. Są to obiekty o różnym charakterze, poczynając od architektury miejskiej, regionów wiejskich poprzez obiekty zabytkowej zieleni oraz zabytki archeologiczne i tzw. obiekty ruchome (wyposażenie obiektów architektonicznych). W Polsce zniesiono klasyfikację zabytków, ale zarówno zabytki średniowieczne (architektura obronna, kościoły), jak również te młodsze (pałace, dwory, kościoły) są bardzo cenne dla naszego regionu. Nadają one charakterystyczny klimat regionowi, chociażby budynki szachulcowe, które są tak nieodzownym elementem krajobrazu, tworząc słynną „Krajinę w Kratę”. Zabytków naszego regionu nie można porównywać z innymi w Polsce i oceniać według ogólnych zasad. To tak, jakby porównywać zabytki Polski do zabytków Włoch. Które są cenniejsze? Dla nas na pewno te, które są w naszym regionie i o te staramy się dbać jak najbardziej.

- Jakie występują problemy w ochronie zabytków? Czy lokalne władze pomagają i współpracują w ich ochronie? Czy zawierają się partnerstwa publiczno-prywatne w ratowaniu zabytków? Proszę podać jakieś przykłady. Czy istnieje społeczna służba ochrony zabytków?

- Największym problemem dla służb konserwatorskich są niewystarczające środki do sprawowania właściwego nadzoru konserwatorskiego.

Cieszę mnie wszelkie przejawy lokalnej aktywności

Z Krystyną Mazurkiewicz-Palacz – kierownikiem Delegatury w Słupsku Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Gdańsku – rozmawia Włodzimierz Lipczyński

Ustawowe obowiązki pracowników z roku na rok stają się coraz bardziej rozbudowane. Zauważam też, że społeczeństwo jest coraz bardziej świadome posiadania zabytków, więc i inwestycji, którymi się zajmujemy jest więcej. Cieszę mnie wszelkie przejawy aktywności lokalnych społeczności, które podejmują działania dla utrwalenia dziedzictwa kulturowego naszego regionu. W moim odczuciu wiele urzędów gmin dołącza się do tych działań tworząc swoisty tandem ze swoimi mieszkańcami. Nie spotkałam się jednak na naszym terenie z partnerstwem publiczno-prywatnym w finansowaniu zabytków. Natomiast samorządowcy wspólnie z różnymi jednostkami budżetowymi lub parafiami

tworzą wspólne programy celem ratowania zabytków, gdzie ta współpraca jest korzystniej postrzegana w momencie przyznawania dotacji.

- Czy parce konserwatorskie będą nasilać się na naszym terenie? Jakie są priorytety przy przydzielaniu funduszy na roboty przy zabytkach i jak wygląda procedura ich pozyskiwania? Czy na naszym terenie istnieją wyspecjalizowani wykonawcy robót w obiektach zabytkowych?

- Wojewódzki Urząd Ochrony Zabytków w Gdańsku co roku posiada budżet na dofinansowanie prac przy zabytkach. Aby pozyskać te środki należy złożyć wniosek do naszego urzędu w Słupsku przy ulicy Jaracza 6. Wszystkie

informacje można pozyskać ze strony internetowej: www.ochronazabytkow.gda.pl. Trudno jest wyrokować jak wiele prac będzie prowadzonych przy zabytkach, ponieważ to właściciele zabytków podejmują te najważniejsze decyzje o inwestowaniu w zabytki. Oczywiście głównym celem naszego urzędu jest nadzór nad zabytkami i wskazanie tych, przy których prace są nieodzowne dla utrzymania ich dobrego stanu technicznego. I te właśnie obiekty mają szansę otrzymania największych dotacji.

Do wykonania prac przy zabytkach należy zatrudniać osoby z odpowiednimi kwalifikacjami. Od lat obserwujemy, że na naszym terenie liczba takich osób wzrasta, jak również firm, które zaczęły się specjalizować w wykonywaniu prac przy zabytkach.

- Skąd wzięło się u Pani zainteresowanie zabytkami?

- Urodziłam się w Makowie Podhalańskim. Moja mama urodziła się w Słupsku, a tata w Żywcu. To moja mama uwarściła mnie na to co „stare”, na estetykę i piękno architektury, rzeczy codziennego użytku i otaczającego nas świata. Natomiast mój tata pokazał jak ważne jest doceniać otaczającą nas przyrodę i umieć się w niej poruszać. Najpierw uczęszczałam do Technikum Budowlanego w Zakopanem i uczyłam się w klasie o profilu konserwacja architektury drewnianej, a następnie ukończyłam Politechnikę Krakowską na Wydziale Architektury i Urbanistyki. Moja praca i to co z nią związane, wypełnia większość mojego życia. Lubię ją wykonywać i przynosi mi wiele satysfakcji, zwłaszcza gdy, jakiś zabytek uda się uratować, ocalić od zniszczenia. Gdy tylko mam szansę podróżowania, daleko czy blisko, korzystam z podróży i szukam wokół siebie ciekawych miejsc. Staram się zauważać jak najwięcej, jak najwięcej fotografować i czerpać siłę do dalszej pracy.

Rozmawiał:

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk



- Jak ksiądz trafił z Pomorza do Tanzanii, a wcześniej na studia do Rzymu? Jak to się wszystko zaczęło?

- Po zdaniu matury zacząłem studia teologiczne w Koszalinie, jako osoba świecka. Po pierwszym roku studiów podjąłem decyzję o wstąpieniu do zgromadzenia Zmartwychwstańców. Nowicjat i studia filozoficzne odbyłem w Krakowie, a w 2005 roku władze zakonne wysłały mnie na studia teologiczne do Rzymu. Święcenia przyjąłem w 2009 roku i przez pierwsze trzy lata kapłaństwa pracowałem w Polsce. W sierpniu 2012 roku pierwszy raz stanąłem na ziemi afrykańskiej. Pierwsze trzy miesiące uczyłem się nowego języka w tanzańskiej szkole językowej, a w styczniu 2013 poszedłem na pierwszą placówkę misyjną. Miałem pod opieką dwadzieścia cztery kaplice w terenie. Był to dla mnie jeszcze intensywny czas nauki, bo całe dni spędzałem z miejscową ludnością. Przez sześć miesięcy chodziłem od domu do domu, przebywałem z miejscowymi ludźmi, uczyłem się ich zwyczajów i kultury. Przyzwyczajałem się do nowego miejsca. W 2014 roku, w wieku trzydziestu dwóch lat zostałem proboszczem parafii Butiama. Jest to parafia pierwszego prezydenta Tanzanii, Juliusa Nyererego - ojca narodu tanzańskiego.

- Proszę opowiedzieć więcej o parafii, w której jest ksiądz duszpasterzem?

- Mieszkańcy parafii Butiama to głównie rolnicy i hodowcy bydła. Moja misja znajduje się w terenie górystym, na wysokości 1550 metrów nad poziomem morza, blisko największego jeziora Afryki - Wiktorii i Parku Seregeti, gdzie dziko żyją miliony egzotycznych zwierząt. Można spotkać tu na wolności żyrafy, słonie, zebry, lwy, hieny, lamparty, bawoły strusie, hipopotamy i inne zwierzęta. Nie ma możliwości sprawdzenia, ilu mamy parafian, bo większość Tanzańczyków nie posiada dowodów osobistych ani aktów urodzenia. Kobiety często rodzą w domach i nie rejestrują swoich dzieci w urzędach. Nie wypisuje się też aktów zgonu. Jest to idealna sytuacja do handlu ludźmi, bo bez trudu można zmienić tożsamość osoby porwanej i wywieźć ją w inne miejsce.

Tanzania jest bardzo żyznym krajem. W roku jest tu tylko kilka miesięcy bez deszczu. Mieszkańcy od wieków nie są przyzwyczajani do robienia zapasów, bo ich ziemia nieustannie rodzi coś nowego. Dzisiaj są to owoce mango, za miesiąc - papaje, jeszcze później

Tanzańczycy uczą się polskiego

Z księdzem Danielem Hincem z Koczały przebywającym od ośmiu lat na misjach w Tanzanii, proboszczem tamtejszej parafii Butiama - rozmawia Włodzimierz Lipczyński



- banany czy awokado. Największym problemem ludów afrykańskich jest to, że nie robią zapasów. Tymczasem szkodniki i wilgoć bardzo szybko niszczą zbiory. Gdy przyjdzie nieoczekiwana susza lub nieurodzaj, to ludność spotyka tragedia. Większość Tanzańczyków nie ma kont bankowych, ubezpieczenia, ani żadnego zabezpieczenia na czarną godzinę. Afryka jest w stanie wyżywić swoją ludność, ale problemem jest mentalność miejscowych ludzi, którzy nie chcą, nie potrafią gromadzić i przechowywać żywności. Teraz, kiedy prowadzimy tę rozmowę, w Tanzanii występuje klęska głodu, bo jest susza i brakuje wody.

- Jakie przedstawiają się perspektywy misji katolickiej w Tanzanii? Czy tworzy się tradycja kultury chrześcijańskiej i nie zagraża jej islam? Jakie są relacje z wyznawcami islamu?

- Nie mogę i nie chcę wypowiadać się na tematy polityczne. Po wiem tylko, że relacje z wyznawcami islamu są bardzo poprawne. Są oni moimi sąsiadami, to bardzo mili i sympatyczni ludzie. Chociaż zdarzył się napad terrorystyczny grupy Boko Haram na naszą misję.

- Jak ksiądz ocenia swój ośmioletni pobyt w Tanzanii? Czy chciałby powrócić do Polski i czy utrzymuje kontakty z krajem? Jak się podróżuje do Tanzanii?

- Mój pobyt w Tanzanii oceniam bardzo dobrze. Jest to moje drugie miejsce i czuję się tu jak w domu. Początkowo



było mi trudno, bo musiałem poznać nowy język, inną kulturę, nauczyć się w niej żyć, przyzwyczaić się do innego klimatu i samotności. Ale teraz przywykłem do nowych warunków. Plan mam tylko jeden: ewangelizacja. Nie pojechałem do Tanzanii, by budować szkoły czy pomagać uchodźcom. Od tego są programy pomocowe, różne organizacje. Jestem po to, by głosić Ewangelię i wspierać Tanzańców pod względem duchowym i mentalnym. Często też pomagam materialnie.

Ruch turystyczny do Tanzanii z Polski rozkwita. Jesteśmy zaraz po Włochach najliczniejszym narodem na świecie odwiedzającym wyspy Zanzibar. Wielu miejscowych zaczyna się uczyć języka polskiego, by móc powitać naszych rodaków, kiedy tutaj przyjeżdżają. Do Tanzanii lata codziennie wiele samolotów. Loty są zazwyczaj do Dar Es Salaam, stamtąd można już lecieć w dowolnie wybranym kierunku. Na przykład na Zanzibar, do Serengeti. Ja, żeby dotrzeć na miejsce, lecę samolotem z Dar Es Salaam do Mwanzy, a potem jeszcze jadę trzy godziny samochodem terenowym.

- Co można jeszcze powiedzieć o tym egzotycznym, afrykańskim kraju?

- Zjednoczona Republika Tanzanii leży we wschodniej Afryce nad Oceanem Indyjskim. Powstała z połączenia dawnych kolonii brytyjskich - Tanganiki oraz brytyjskiego Zanzibaru. Jest jednym z największych państw afrykańskich, zamieszkiwanym przez przeszło 53 miliony ludzi. Pierwszym językiem urzędowym jest tu suahili, drugim angielski. Religią dominującą jest chrześcijaństwo, na drugim miejscu jest islam, a na dalszych miejscach są religie lokalne. Na Zanzibarze islam wyznaje 99 procent ludności. Ostatni apel Organizacji Narodów Zjednoczonych i FAO skierowany do świata dotyczy udzielenia pomocy Tanzanii, która przeżywa teraz klęskę głodu. Warto jeszcze wiedzieć, że w tym największym państwie afrykańskim aż dwie trzecie ludności żyje poniżej ubóstwa.

- Dziękuję księdzu za rozmowę i życzę wytrwałości w misyjnej pracy.

Rozmawiał:

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Człowiek wyposażony

Człowiek wyposażony – takim pojęciem obdarowuję nie tylko siebie, ale całą już ponad siedmio i półmiliardową populację, tu i teraz na naszej matce Ziemi. Można by rzec, że wyposażony chociażby w... garnitur genowy, rozczytywany przez nas samych, coraz to z iście autorytatywną pewnością siebie.

Jeżeli coś jest „na rzeczy”, to znajdziemy odpowiedź w... genach i uodowodnimy, że jesteśmy w stanie znaleźć ogniwo prawdy o deklinacyjnej współzależności. I dać sobie z innymi domniemaniami. święty spokój. Ale zapatrzeni w pogląd naukowy, iż człowiek kreatywny lub innowacyjny jest w stanie osobistej prokreacji „wymusić” istotne zmiany, inaczej - wnieść poprawki, do otrzymanego w prezencie od przodków garnituru genowego, idziemy w zaparte krzewić (usprawiedliwiać) swoje poczynania w myśl idei ewolucyjnych przemian. Z głębokim przekonaniem o postępie, ubogaceniu podarunku „po mieczu, po kądzieli” - po prostu - rodowego!

Świat ludzkich poczynañ jest sam w sobie niezwykle bogaty. Nawet, jeżeli osoba pozostaje w kieracie uzależnień, schemacie rozdzielczo-rozkazodawczym,

aby działać na wytyczoną modłę, wykona to po swojemu, wnosząc nawet niezauważalnie, indywidualny ślad.

Często piszę o biosferycznej różnorodności. O potrzebie takiego tworów w rozwoju świata. Ową różnorodność należy dostrzec, zrozumieć poszczególne trybiki uzależnień; konieczności niezbędnej w ewolucyjnym, samonapędzającym się świecie. Każdy sygnał, zmiana, odmienność, impuls, oddziaływanie na zasadzie: akcja - reakcja, to przyczynek do par excellence mutacji. Czy zawsze wychodzi to na dobre nie tylko ludzkości? Pytanie oczywiste, gdyż uważni obserwatorzy, nie pomijając tu świata nauki, widzą, słyszą i czują, objawiając wszystko w różnoki, często rozbieżny sposób.

Piszę „ludzkości”, a przecież to tylko część globalnej populacji istot. Człowiek w swej zbiorowości jest tylko

częstką, podobnie ludzkość do zbiorowiska świata. Kilka dni temu napisano, iż ptaki przejawiają... myślenie. Jako obserwator przyrody, a czynię to już ponad siedemdziesiąt lat, tę przypadłość zauważam od dłuższego czasu, nie tylko u tych zwierząt, ale także u innych „braci mniejszych”, dotychczas potraktowanych przez naukowców niegodziwie.

Naukowcy zawsze mi odpowiadali: „Daj pan spokój! Skończył pan też studia przyrodnicze, więc powinien wiedzieć, że nie mają one (zwierzęta) śladu kory mózgowej, czasami ledwo załazek, mózg słabo rozwinięty (tępy), nie myślą, kierują się instynktem, impulsem, jakąś tam pamięcią, naśladownictwem.” Wśród ptaków tego samego gatunku jest tyle różnic, że mają wyraźne problemy z porozumiewaniem się. Obserwowałem i to zjawisko, zresztą dopiero niedawno potwierdzone przez naukowców. Zachowanie ptaków różni przyzwyczajenie, a nawet język! Na przykład żurawie europejskie „nie dogadują się” z żurawiami azjatyckimi. We wrześniowych i październikowych przelotach na zimowiska wyżej lecą klucze żurawi ze Skandynawii i Rosji (zachodniej), nieco niżej nasze z Kaszub, Pomorza. Klucze często krzyżują się, widzą się, reagują głosami, ale nie dołączają do siebie, zachowując odrębność. Nawet te - europejskie nie reagują „rodzinnie”; nasze lądują nieopodal, tamte lecą na zachód Europy.

Znana jest inność słowików - dwóch podgatunków dolatujących do Polski, które całkiem niedawno poróżniły się: szary i rdzawy inaczej prowadzą trele, przywdziewają się w nieco inne piórka. Przykładów tu można przytoczyć więcej w całej zwierzęcej gromadce, nie wyłączając owadów, na przykład pszczół.

Wracając do człowieka, pewien aktor zapytany, co się z nim dzieje, dlaczego unika kontaktów z przyjaciółmi, znajomymi, dlaczego jest wycofany, zamknięty, źle wygląda, odparł: „Mam depresję”. Zapytany o przyczynę, dodał: „Widzi pan, nie bardzo potrafię panu wytłumaczyć, powiem tylko, że ma ona imię (dwa lata temu zmarła mu żona), które nic panu nie powie. Jestem z tym sam, tylko ja i nikt więcej. Krok w krok idzie ze mną, nie mogę od tego uciec, oderwać się. To moja depresja, tylko moja, bardzo indywidualna, jest we mnie na co dzień. Nigdy pan tego nie zrozumie, a ja nie wyjaśnię. Nawet córka stara się łagodzić jej skutki, pomóc, ale ona to już inny temat.”

Ponad siedem i pół miliarda ludzi, a każdy ma tylko swój bank genów. Łączy nas przestrzeń (podobno i dzieli), czas (umowne trwanie). Łączą podstawowe wymogi biologii molekularnej, a ile dzieli? Nic nie jest takie oczywiste, proste, bezbolesne, łatwe.

W prowadzonej korespondencji z profesorem Maciejem Luniakiem (znał przedwcześnie zmarłego prof. W. Górskiego, ornitologa z Akademii Pomorskiej w Słupsku), sugerującym, aby parki miejskie pozostawić same sobie, nie porządkować, nie ingerować w nie, niekiedy tylko symbolicznie, znalazłem taki oto pogląd: „Z przyrodą lepiej nie walczyć. To w dłuższej perspektywie, po prostu się opłaca.”

Cóż, różnorodność sama wyznacza granice egzystencjonalne poszczególnych gatunków. Park miejski to część ekosystemu, parki - więcej części. Czy one, ze swą dzikością, zatrzymają degradację (dewastację) środowiska przez „człowieka wyposażonego”?

Jeśli ograniczymy powierzchnię leśną, to, na przykład dziki chętnie zasiedlają park, przyjdą (już się to dzieje) do miasta! Rozregulowanie systemów biologicznych jest już na tyle daleko posunięte, że doraźne naprawianie częstkowe, nie może skutecznie zadziałać.

Od młodych lat związany z rodzinną gospodarką pasieczną, a później jako wieloletni mieszkaniowiec Kaszub - jeszcze stosunkowo w małym stopniu zdegradowanych, dawno zauważyłem, że łańcuch: pszczoły - rośliny - zwierzęta - człowiek coraz bardziej pęka. Jeśli się rozsypie, a to się już dzieje, to będzie koniec życia na Ziemi. To kwestia nieodległego czasu, na co wskazywał też genialny uczony - Albert Einstein.

W biuletynie „Powiat Słupski”, nr 5-6, maj-czerwiec 2020, w artykule Kazimierza Jutrzenki pt. „Nie tylko susza zagraża”, autor w krótkim tekście wypunktował słabości nowej agrotechniki. Ukazał kardynalne zaniedbania lekceważące naturalne i niezbędne wymogi prawidłowego funkcjonowania zespołów przyrodniczych. Wczytuję się także w wywody „fachowców” od uprawy roślin zachwalających zwiększające się z roku na rok uprawy kukurydzy, rzepaku, oczywiście kosztem upraw bardziej pracochłonnych, okopowych, wymagających dobrej kultury agrotechnicznej. Bardzo ciężki sprzęt rolniczy, wszędziebyłska chemia, pośpiech, uproszczenia nie tylko płodozmianowe, braki nawozów naturalnych, eksperymenty gatunkowe, kaprysy aury,

etc., zakłócają przyrodniczo rolniczą płodność, egzystencję polowych gatunków fauny i flory.

Zaprzatanie głowy wiadomościami stricte politycznymi, militarnymi: kto, komu, kiedy, gdzie, jak... skutecznie odwraca uwagę od toczącej się, jak kula śniegowa, choroby ludzi „wyposażonych”. Zewsząd pobrzmiwa szekspirowskie zawołanie: „Być, albo nie być...”, zdaje się być tego wieku naczelnym pytaniem. Zatem, nie dziwny się, że Covid-19 poczyną sobie z nami co chce, że ucieka nam spod kontroli, jak i inne czynniki życia, a nastolatka ze Szwecji posypuje nasze głowy... popiołem! Niektórzy już porównują ją do Joanny d'Arc(!?) miast szukać właściwych paradigmatów prawdy o nas.

W monografii mego autorstwa pt. „Borodziej cieśla i kozioróg dębosz (W rodzinie kózkowatych. Souvenir czy przeznaczenie)” z 2014 roku zawarłem dość obszerne fragmenty przemysłów znanych i uznanych autorytetów oraz swoje skromne sugestie o coraz grubszej „fila fatum” w krojonych zamierzeniach naszej cywilizacji. Po latach przychodzi nam czytać artykuł ze wspomnianego wyżej biuletynu, autorstwa Teresy Nowak z Łupawy, pt. „Świat zamarł, zastygł, znieruchomiał”. Dodam: świat człowieka „wyposażonego”! Jak to osiągnąć, by demokratyczna większość dostrzegająca katastrofę, doszła do głosu ze swoją racją! Ale podobno „chcieć to móc”!

Wczoraj, podczas pokrzepiania się filiżanką czarnej kawy zagadnąłem do siedzącej obok żony: - Czy wiesz co płynęło we Wrocławiu Odrą? - Aligator! - A co złowił w Wiśle wędkarz? - Piranie, z tych dużych, chyba około trzykilogramową! - Żartujesz! - odrzekła. A skąd to wiem? - Z mediów. - A wiesz, co mi się dzisiaj przyśniło? - dorzuciła żona. - Zielone ogrody!

Oj, abyśmy nie tylko spacerowali we śnie po zielonych alejach.

Wyposażony człowiek znacznie uszczupla zielone płuca Ziemi - Amazonię. W tym roku, w okresie naszego lata, a tam zimy, w strefie podzwrotnikowej zanotowano niespotykane na tym terenie przymrozki. Obecnie (tam początek wiosny) temperatura maksymalna osiąga tam plus 43 stopnie Celsjusza! Zwarte pola drzew neutralizowały rozpiętości dobowych temperatur do kilkunastu stopni, teraz gołe przestrzenie wykazują znaczne rozpiętości w jej amplitudzie.

Piotr Wiktor Grygiel, Pawłówek

No to jedziemy na Pałuki

Cudze chwalicie, swego nie znacie. To staropolskie powiedzenie pasuje jak ulał do niektórych mniej odwiedzanych regionów naszego kraju. Teraz w okresie pandemii, gdy w dużej części wypadły urlopy zagraniczne, wybieramy Bałtyk lub góry. Tymczasem w innych rejonach Polski też nie brakuje ciekawych miejsc.



Fot. Archiwum Urzędu Gminy w Gąsawie

Wczasie wakacji postanowiliśmy odwiedzić Pałuki. To region kulturowy na rubieżach województw kujawsko-pomorskiego i wielkopolskiego. Zaczęliśmy od Żnina. Miasto to ma długą i bardzo ciekawą historię. Leży między dwoma jeziorami. W państwie Piastów wzrosło znaczenie Żnina jako węzła komunikacyjnego. W tym czasie pełnił też ważną funkcję militarną. Mając kontrolę nad przeprawą przez rzekę Gąsawkę jednocześnie blokował najeźdźcom drogę w głąb państwa. Najstarsza wzmianka o Żninie jako mieście pochodzi z 1284 roku, kiedy to założono mennicę arcybiskupią. W tym okresie wzrasta ranga miasta, gdyż przechodzi tu szlak handlowy ze Śląska do Gdańska. W 1443 roku włączono do miasta dawny dwór biskupi na Ostrowiu. Należał on w tym czasie do większych miast Wielkopolski. Pamiątkami z przeszłości są m.in. kościół

farny św. Floriana z początku XV wieku i stojący przy farze stylowy dworek zwany Sufraganią. To klasycystyczny budynek z końca XVIII wieku. Dwadzieścia lat temu otwarto w nim Muzeum Sztuki Sakralnej. Zwiedzając Żnin warto zwrócić uwagę na gotycką wieżę ratuszową z 1447 roku mieszczącą obecnie muzeum. W 1889 roku wybudowano Powiatową Kolej Wąskotorową. Pod koniec XIX wieku uruchomiono cukrownię, która wspólnie z dworcem kolejowym przyczyniła się do rozwoju miasta na wschód. Kolej jeździ na trasie Żnin-Wenecja-Biskupin-Gąsowa. Ma długość dwunastu kilometrów.

Będąc na Pałukach nie można ominąć Wenecji położonej na starym szlaku piastowskim. Znajduje się tu Muzeum Kolei Wąskotorowej. Z oficjalnej strony muzeum możemy się dowiedzieć, że jest to największy tego typu skansen w Europie. Zbiory muzealne liczą

siedemnaście parowozów z najstarszym pochodzącym z 1899 roku. Poza tym sześćdziesiąt różnego typu pojazdów szynowych, drezyn i innego wyposażenia kolei. Jeden z parowozów zbudowany w 1983 roku w Chrzanowie nosi nazwę Leon. To dla upamiętnienia Leona Lichocińskiego. To postać na Pałukach wyjątkowa, legenda kolei wąskotorowej. Po zakończeniu pracy w 1972 roku na kolei stał się przewodnikiem i to niezwykle. Wielu turystów odwiedzało Muzeum Kolei Wąskotorowej w Wenecji tylko po to, aby posłuchać legend opowiadanych przez niego gwarą pałucką. Dumny ze swego pochodzenia opowiadał o przeszłości ziemi, z której wyrósł oraz o własnym doświadczeniu. Zmarł na stanowisku pracy, czekając na kolejnych turystów. Dodajmy, że na budynku stacji kolejki jest tablica pamiątkowa, a kawalek dalej jego popiersie. Wtajemniczeni mówią,

że panna, która dotknie jego uszu, szybko wyjdzie za mąż.

Niedaleko od muzeum znajdują się ruiny XIV-wiecznego zamku zbudowanego przez kasztelana nakielskiego Mikołaja Nałęczę z Chomiąży zwanego „Krwawym Diabłem Weneckim”. Jako wysokiej rangi urzędnik królewski towarzyszył królowi Kazimierzowi Wielkiemu w czasie jego pobytów w Wielkopolsce. Dodajmy, że przez Ludwika Węgierskiego mianowany został kaliskim sędzią ziemskim. Z zamkiem i jego właścicielem związane są różne legendy. Jedna z nich mówi o ogromnych skarbach gromadzonych przy gnębieniu swych poddanych. Pewnego roku, gdy odbywała się huczna uczta, nade-

uderzali w bramę. Belka była zakończona żelaznymi okuciami w formie baraniego łba. Była to prosta, ale niezwykle skuteczna broń.

Po zwiedzeniu muzeum przy pięknej słonecznej pogodzie przyszedł czas na przejazd Kolejką Wąskotorową na trasie Wenecja-Biskupin-Gąsowa. To radość nie tylko dla dzieci, ale i dorosłych. Ten specyficzny pociąg mknie z „zawrotną szybkością” około dwudziestu kilometrów na godzinę. Szkoda tylko, że tak niewielu pasażerów miało założone maseczki.

Perelką na Pałukach z całą pewnością jest wieś Biskupin. Słynna dzięki odrestaurowaniu pozostałości osady obronnej związanej z kulturą łżycką.

sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Dość warto, że ta roślina na Pomorzu Środkowym masowo była uprawiana pół wieku temu. W Lęborku i Koszalinie znajdowały się zakłady roszarnicze zajmujące się przerobem lnu.

Żałować należy, że kończąc wizytę w Biskupinie nie dane nam było popłynąć po jeziorze Biskupińskim statkiem o wdzięcznej nazwie „Diabeł Wenecki”. Na przeszkodzie stanęła pandemia. Będąc na Pałukach warto zwiedzić jeszcze kościół św. Mikołaja w Gąsowie. Jest to obiekt drewniany, modrzewiowy zrębowo-szkieletowy, zbudowany około 1625 roku przez kanoników regularnych z Trzemeszna. Przekazali oni do kościoła przepiękne barokowe ołtarze z wyposażenia klasztoru z Trzemeszna. Znajduje się tu obraz Sądu Ostatecznego, rzadkość, scena cierpiącego Hioba. Ponadto symboliczne zestawienie świadków zmartwychwstania obok Uwielbionego Chrystusa: Tomasz, Piotr, Magdalena i św. Paweł. W kościele zachowały się także liczne rzeźby barokowe w drzewie, pięć ołtarzy i ambona. Na belce znajduje się późnogotycka Grupa Ukrzyżowania.

Z Gąsawą wiąże się jeszcze jedna ponura historia zwana zbrodnią gąsawską, a także krwawą łaźnią. Doszło do niej jesienią 1227 roku. Podczas zjazdu władców Leszka Białego, Henryka Brodatego i Konrada Mazowieckiego doszło do najazdu Świętopelka na łaźnię, w której akurat przebywali. W trakcie ucieczki zginął Leszek Biały. Na postać tę zwróciła mi uwagę pani prof. Barbara Popielas-Szultka ze słupskiej Akademii Pomorskiej. Tragiczna śmierć Leszka Białego stała się wydarzeniem, które zamknęło pewną epokę w dziejach Polski Piastów. Leszek Biały był bowiem ostatnim księciem krakowskim, który zachował resztki zwierzchnictwa nad pozostałymi Piastami. Następstwa śmierci Leszka Białego były dla dziejów Polski bardzo ważne, stały się bowiem przyczyną usamodzielnienia się Pomorza Gdańskiego.

Żegnając Pałuki jedziemy w kierunku Gniezna przez wieś Marcinkowo Górne, gdzie został zamordowany Leszek Biały. Dziś stoi tu pomnik. Pałacznicy cały czas zachowują poczucie własnej odrębności kulturowej i niektóre dawne zwyczaje. Mówi o tym historia ta sprzed wieków i najnowsza. Liczne wycieczki młodzieży szkolnej z całego kraju i nie tylko świadczą o tym, że dzieje naszej ojczyzny nie są im obce.

Kazimierz Jutrzenka, Słupsk



sza burza i piorun uderzył w zamek zamieniając go w ruinę, zasypując gruzami właściciela i jego skarby. Dzisiaj nocami koło zamku słychać brzęk monet i jęki „Diabła Weneckiego”, który strzeże swych bogactw w zamkowych podziemiach. Obok ruin zamku w Wenecji znajdują się średniowieczne maszyny oblężnicze. Na podzamczu ustawionych zostało dziewięć maszyn wśród nich 17-minutowa wieża oblężnicza (jedna z dwóch na świecie). Ponadto prezentowane są m.in.: hak niszczycielski, taran i trebusz. Ten ostatni to była średniowieczna broń artyleryjska wykorzystująca zasady dźwigni, miotająca pociski ze znaczną celowością. W istocie była to olbrzymia mechaniczna proca. Taran natomiast w wersji najprostszej stanowi ciężką belkę niesioną nawet przez kilkunastu żołnierzy, którzy

To jeden z największych tego typu rezerwatów archeologicznych w Europie. Najslawniejszy element to stanowisko z pozostałościami osady obronnej. Położony na półwyspie jeziora Biskupińskiego rezerwat posiada odwzorowane obozowisko łowców i zbieraczy oraz osadę pierwszych rolników.

Jest też wioska piastowska prezentująca życie mieszkańców wsi w średniowieczu. Na teren rezerwatu przeniesiono również chatę pałucką. Znajduje się także zwierzyńiec, w którym spotykamy wielkie woły, konie, owce i kozy. Na poletkach uprawnych rosną m.in.: orkisz, pszenica zbitokłosa, lnianka i len. Ta ostatnia roślina jest już prawie historyczna. Akurat znajduje się w czasie zbiorów. Dojrzałe łodygi równo ułożone są w rzędkie, tak jak ręcznie wyrzynano len jeszcze w latach



Jak chór połączył ludzi?

- Lubię jak żona śpiewa, bo ma melodyjny, kojący głos. A wieczorem zakłada słuchawki i słucha swoich ulubionych piosenek. Czasami zasypia ze słuchawkami.

Na scenie stanęło kilkadziesiąt osób. Z przodu młodzież, uczniowie szkoły podstawowej, z tyłu przyjaciele, czyli pospolite ruszenie: nauczyciele, rodzice, właściwie każdy, kto lubi śpiewać, kto śpiewał w szkolnym chórze, nawet jeśli to było bardzo dawno temu. Z przodu soliści: Zuzanna Malek, Kamila Ramult, Piotr Szadziński i Piotr Konopa. Zabrzmiała muzyka, zapaliły się światła. Zaczął rozlegać się śpiew.

Niezwykłość chóru, który powołała do życia Zuzanna Malek polega na tym, że do dziecięcego chóru „Łupawia” dołączyła grupa przyjaciół, czyli wszystkich chętnych do zaśpiewania pięknej, ubranej w muzykę, modlitwy „Gloria” - utworu z repertuaru TGD (Trzecia Godzina Dnia) wykonywanego przez zespół w składzie: Katarzyna Cerekwicka, Katarzyna Moś, Kuba Badach i Mieczysław Szcześniak. Przedział wieku chórzystów - od sześciu lat do sześćdziesięciu, czyli od przedszkola do emeryta, ludzi o różnych profesjach. Łączy ich przeszłość - szkolny chór prowadzony przez wiele lat przez Waldemara Awchiminiego. Wspomnienia zamknięte w pamięci i w szkolnych kronikach. I stąd pomysł projektu i scenariusza autorstwa Zuzanny Malek i Zofii Batyckiej. Niechby wszyscy jeszcze raz zaśpiewali, przypomnieli się sobie nawzajem i przywrócili dawne więzi. Utwór „Gloria” okazał się doskonały, bo w treści opowiada o rodzinnych, wielopokoleniowych spotkaniach w atmosferze miłości, radości, pojednania..

Pomysłodawczyni przedsięwzięcia jest na co dzień nauczycielką muzyki w

Szkole Podstawowej w Łupawie. Prowadzi zajęcia umuzykalniające i rytmiczne w przedszkolu. Jej pasją jest śpiewanie. Gościnnie występowała w potęgowskim zespole „Wiśta, Wio”. Jako solistka występuje okazjonalnie na różnych imprezach gminnych.

- Najbliższą mi jest muzyka pop i reggae, a piosenki powinny opowiadać historię, bo nie tylko dźwięk, ale i słowa są ważne - mówi Zuzanna Malek. - Piosenka ma łączyć ludzi, usposabiać przyjaźnie, pokrzepiać w trudnych chwilach i budzić radość. Wiara w skuteczność piosenki prowokuje do wymyślania i realizacji różnych projektów muzycznych.

- Mąż? Nie, nie protestuje, raczej wspiera i pomaga. Też wystąpił! - dodaje pni Zuzanna. - Chyba jest dumny, gdy z córką śpiewamy, bo Inka - nasza córka - pięknie śpiewa i zdarza się, że występujemy razem. A przy tym projekcie wystąpiła też moja mama Alina i ciocia, siostra mamy. Przyjeżdżała na próby z Bytowa.

Pani Alina Woźniak-Jacobs, mama Zuzany mieszka w Grąbkowie, Jest tam sołtyską. - Zawsze pomagała mi piosenką. Śpiewałam, gdy było mi smutno i wtedy, gdy rozpierała mnie radość. Z siostrą występowałyśmy na szkolnych akademiach i w chórze. Marzyłam, żeby śpiewać na scenie. Nie wyszło, ale piosenka, muzyka zawsze nadawała i ciągle nadaje sens mojemu życiu. Rano mobilizuje do pracy, wieczorem może ukoić lęki. A pomysł córki? Nie musiała mnie specjalnie namawiać. Siostry też. Myśl, że mogę stanąć na scenie w obecności

córki i wnuczki naprawdę mnie poruszyła. To jakby powrót do dawnych czasów i spełnienie marzeń. Jestem dumna z córki, gdy widzę z jaką pasją realizuje swoje projekty, jak bardzo jest zdeterminowana. Realizuje nie tylko swoje marzenia, ale i poniekąd moje.

Piotr Szadziński na co dzień pracuje w rodzinnej firmie. Jego powszechnie znaną w środowisku pasją jest fotografia. Fotografuje i filmuje śluby i wesela, imprezy wiejskie, szkolne, uroczystości religijne. Jego fotografie można znaleźć w kronikach szkolnych i parafialnych. Sprawdził się już wielokrotnie w roli konferansjera prowadzącego gry i zabawy dla dzieci na rodzinnych festynach, w trakcie imprez charytatywnych organizowanych przez szkołę i kościół. Sympatyczny pan spokojnym i ciepłym głosem budzi zawsze pozytywne emocje. Nigdy nie brakowało chętnych do udziału w proponowanych przez niego zabawach. Wspierała go w tym żona, Beata. Ale nigdy nie występował w roli śpiewającego, toteż pojawienie się w duecie z Zuzanną na scenie spowodowało, że zaniemówiłam z wrażenia.

Na pytanie, skąd u niego to śpiewanie, czy to jakaś ukryta pasja, niespełnione marzenie? Piotr się zaśmiał i odpowiedział, że to Zuzanna namówiła go do śpiewu. Stało się to po sfilowaniu i nagraniu spektaklu przygotowanego też przez nią i Zofię Batycką z okazji setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości.

- Pewnie to wtedy Zuzanna stwierdziła, że mogę zaśpiewać na scenie. Nie

bardzo widziałem siebie w tej roli, ale mnie namówiono. Miała w tym też swój udział moja żona i córka. Trochę się obawiałem, że mnie złamie trema, bo mówić to jedno, a zaśpiewać to zupełnie coś nowego. Ale nie ukrywam, że lubię wyzwania - przyznaje pan Piotr. - Moja Kasia (pasjonuje ją taniec współczesny i uczęszcza na kurs) i mój Maciek (jego pasją jest fotografia i chciałby studiować w Akademii Sztuk Pięknych) też namawiali mnie, żebym spróbował. A wsparcie moich bliskich motywuje!

- Dla mnie to też było wyzwanie. Nie jestem zbyt odważna i wiele wysiłku kosztuje mnie każdy publiczny występ, chociaż od lat przygotowuję dzieci do Pierwszej Komunii Świętej, innych uroczystości religijnych i muszę przemawiać do rodziców i gości. A propozycja Zuzanny stanowiła dla mnie wyzwanie. Pomyślałam sobie: czemu nie? Kiedyś należałam do chóru. No i wesprę męża. Po pierwszym publicznym występie, naprawdę czułam się mile. Na twarzach widzów tyle było uśmiechów. A dla mnie to ważne. Ale nie tylko występ jest ważny. Dla mnie niesamowite są spotkania, rozmowy i żarty. Można rozmawiać bezpośrednio. Ostatnio ludzie jakby trochę się wyobcowali, zamknęli w sobie - zauważa pani Beata, żona Piotra.

Kamila Ramult była w wysokiej ciąży, wystąpiła w ciemnobrązowej sukience. Śpiewała o oczekiwaniu na Dzieciątka. Była w tym jakaś symbolika. - W naszym domu muzyka jest bardzo ważna i dla mnie i dla męża. Uspokaja, wygasza emocje, rozładowuje napięcie wynikające z trudów codziennego życia. Już po wejściu do domu włączamy ulubioną piosenkę. Mamy mnóstwo płyt. Stworzyliśmy takie nasze małe archiwum z ważnymi dla nas piosenkami. Tak się jakoś składa, że istotne dla naszej rodziny sprawy, daty, uroczystości mają swoje piosenki. Chociażby urodziny Hani - naszej pierworodnej. Kiedy mąż przywiózł mnie z malutką Hanią ze szpitala i weszliśmy do mieszkania, to po włączeniu radia usłyszeliśmy utwór Edyty Bartosiewicz „Witaj w naszym świecie”. I ta piosenka zawsze kojarzy nam się z córką. I tak jest z innymi ważnymi zdarzeniami. Tak powstało nasze archiwum - album muzyczny. Bardzo go sobie cenimy. A tak ogólnie to lubimy piosenki lat osiemdziesiątych i piosenki poetyckie Michała Bajora. Lubię słuchać też Czerwonych Gitar - uzasadnia swoją decyzję Kamila.

- Propozycja Zuzi od razu mnie zachwyciła. Lubię śpiewać. A jeszcze wystąpić z córką, która śpiewa w chorze „Łupawia”?! Wybrany utwór bardzo mi odpowiadał. To świetna piosenka, stała się dla mnie taka trochę osobista. A poza tym poznałam wspaniałych ludzi. Znałam ich oczywiście, ale te rozmowy o wszystkim, żarty, opowieści po próbach naprawdę sprawiały mi dużą przyjemność - dodaje Kamila.

Piotr Konopa to już weteran sceniczny. Od dwudziestu trzech lat śpiewa w zespole Life. To dwuosobowy zespół założony z kolegą jeszcze w szkole średniej. W technikum mechanicznym zaczęła się historia jego spotkania z piosenką i sceną, chociaż w Szkole Podstawowej w Łupawie należał do szkolnego chóru i śpiewu uczył go Waldemar Archimieni. Ale dopiero w technikum pomyślał o śpiewie bardziej profesjonalnym. Na jednej ze szkolnych uroczystości wykonał piosenkę Chaima Topola „Gdybym był bogaty” z musicalu „Skrzypek na dachu”. Po tym występie został zaraz solistą szkolnego zespołu muzycznego. Występowali na szkolnych imprezach i uroczystościach. Po maturze zespół się rozpadł, ale Piotr postanowił z kolegą kontynuować swoją przygodę z muzyką i jeszcze mieć z tego jakieś pieniądze. Kolega grał, a on śpiewał.

- Zaczynaliśmy skromnie na festywnach i spodobało się ludziom to nasze granie i śpiewanie - mówi Piotr. - Zaczęli nas wynajmować na wesela, imprezy. Graliśmy w ośrodkach turystycznych. Tak minęły dwadzieścia trzy lata. Repertuar? Był różny. Zaczynaliśmy od piosenek z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Ale często proszono nas o walce, walczyki, tanga. Ludzie tańczyli najczęściej w parach. To było wzruszające, bo dostrzegało się bliskość, radość. Słuchano, tańczono, często wtórowano, bo słowa były znane. Teraz jest już inaczej. Owszem, jest taniec, ale nie ma już par, wszyscy tańczą oddzielnie, nie ma bliskości. Czasami ktoś odstawi solówkę taneczną. Taka moda. Dobrze byłoby wprowadzić edukację taneczną, przypomnieć, czym jest taniec. Muzyka jest dla mnie najważniejsza. Myślę, że powinna być dla każdego przewodnikiem życia. Idź tam, gdzie śpiewają, bo tam ludzie dobre serca mają - to moje motto. Dodam jeszcze myśl Platona: „Muzyka to dusza Wszechświata, skrzydła umysłu, lot wyobraźni i wszelkie życie!”

- Z Zuzanną Malek często spotykaliśmy się na scenie. Dlatego gdy

zapropozowała mi udział w projekcie, zgodziłem się praktycznie bez namysłu. Było to ciekawe wyzwanie zaśpiewać w takim licznym i zróżnicowanym gronie. Z dumą muszę dodać, że moja córka też śpiewała. Maja jest utalentowana. Dbamy z żoną o jej muzyczną edukację - dodaje Piotr.

Pani Wiesia zawsze lubiła się angażować w życie społeczne, coś robić wspólnie z ludźmi, spotykać się. Bardzo mocno zaangażowała się w działalność Koła Gospodyń Wiejskich. Była jedną z jego założycielek. Z sentymentem wspomina ten czas. Jednak wyjazd do Anglii, do pracy oderwał ją na kilka lat od tej działalności, a po powrocie już nie było tak jak dawniej. Nie umiała się znaleźć w nowej rzeczywistości. Dlatego propozycja Zuzanny, by przystąpiła do chóru, spodobała się jej.

- To wcale nie znaczy, że nie miałam wątpliwości. Nie jestem młoda, już nawet jestem babcią. Bałam się, jak to będzie na scenie? - przyznaje się pani Wiesia. - Ale uwielbiam śpiewać i słuchać piosenek. Wiele tekstów mnie wzrusza, bo piosenka musi mieć historię. W szkole śpiewałam w chorze i były to najprzyjemniejsze zajęcia. Zgodziłam się, gdy dowiedziałam się, że będą jeszcze panie starsze ode mnie, że nie chodzi o poważny repertuar, ale o wspólną zabawę, o spotkanie z ludźmi, że będzie można zrobić coś fajnego.

Mąż pani Wiesi nie wtrąca się do rozmowy. Zapytany o stosunek do pasji żony, opowiada: - Moja żona zawsze śpiewała. W kuchni, w łazience, w ogródku i przed snem. Nie powiem, żeby mnie to czasami nie irytowało, gdy tak sobie podśpiewywała. Ale lubię jak śpiewa, bo ma melodyjny, kojący głos. A wieczorem zakłada słuchawki i słucha swoich ulubionych piosenek. Czasami usypia ze słuchawkami.

* * *

Patrzyłam na te wszystkie uśmiechnięte twarze podczas występu chóru, słuchałam wypowiedzi i opinii. To było dla mnie fascynujące doświadczenie. Przeszłość i teraźniejszość - a radość zawsze jednaka.

W głowie Zuzanny Malek zrodził się już nowy projekt, ale pojawienie się pandemii przerwało pracę nad nim, zawiesiło spotkania. Ale nie zerwało powstałych więzi. Wszyscy mają nadzieję, że jeszcze nadejdą czasy wspólnych spotkań.

Teresa Nowak
Łupawa

Diabły z topolowych pni

Popularna opowieść o łebianach w niebie przedstawiona została w formie dwuelementowej kompozycji, którą stanowi zbolata (z niemocy) postać świętego Piotra i niesforni łebianie.



Fot. J. Maziejuk

Pierwsza dekada września była pracowitym, ale mile spędzonym czasem dla niektórych rzeźbiarzy z powiatu słupskiego i ze Słupska. Szczęściu z nich oraz dwoje rzeźbiarzy z Niemiec, jeden z powiatu cieszyńskiego i jeden z powiatu człuchowskiego, wzięło udział w Międzynarodowym Plenerze Rzeźbiarskim „Pasje w drewnie ukryte”. Plener zorganizowało już po raz szósty Stowarzyszenie na rzecz Rozwoju Regionu Słowińskiego „Kluka” we współpracy z Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku.

W tym roku artyści rzeźbili postaci i sceny z legend słowińskich. Z wielkich topolowych pni (tak wielkich, że na miejsce pleneru, do ośrodka Łazur BIS w Rowach, trzeba było je przetransportować dźwigiem) powstało dziesięć rzeźb, z których każda otrzymała kształt myśli i wyobraźni jej autora, zrodzonych po lekturze słowińskich opowieści.

Jest diabeł - postać często występująca w legendach słowińskich - zawsze pojawiający się tam, gdzie może wykorzystać słabość czy naiwność człowieka: w pozie dystygowanej, ale jednak zdradzającej jego wyższość,

bezwzględność i siłę, i w pozie przegranego króla, pozostającego z głazem w rękach, którym nie dokończył budowy



Fot. J. Maziejuk

kościół na jeziorze Gardno. Bo tym razem człowiek z danego diabłu słowa wykpił się podstępem. Jest też bryła tego niedokończonego kościoła, z niewielką postacią diabła, stojącą w otworze okiennym, patrzącą w dal z nieco sarkastycznym uśmieszkiem: tym razem się nie udało?... Największy i najgrubszy z topolowych pni, wybrany przez rzeźbiarza o zgoła przeciwnych wymiarach, przerodził się w zamek z widniejącymi na fasadzie wizerunkami kobiety, zwierząt i przedmiotów symbolizujących wydarzenia zawarte w legendzie o zapadniętym zamku.

Dwaj inni artyści podjęli się wyrzeźbienia panującej na tym zamku księżniczki, każdy nadając jej wizerunkowi kształt swoich wyobrażeń. Wyrzeźbiono też słupskiego malarza z legendy pod takim tytułem, a postacią rycerza z garncem pełnym monet zobrazowana została legenda o skarbcu na Rowokole.

Popularna opowieść o lebianach w niebie przedstawiona została w formie dwuelementowej kompozycji, którą stanowi zboląła (z niemocy) postać świętego Piotra i niesforni lebianie, czyli wyrzeźbione w jednym pniu ludzkie głowy z atrybutami wiążącymi się z ich niewłaściwym w tym miejscu zachowaniem.



Jedyna wśród uczestników rzeźbiarka nie mocowała się ze swoim pniem, próbując go postawić, a właśnie w jego poziomym ułożeniu zawarła swoją wizję starej legendy o pasterzach, którzy zamienieni zostali w kamienie, bo do zabaw wymyślanych w czasie obowiązku wypasania wykorzystywali ser robiony z mleka doglądanych przez siebie owiec.

Wszystkie prace powstałe w czasie tegorocznego pleneru rzeźbiarskiego przewieziono z Rowów do Słupska i zamontowano na placu przed Białym Spichlerzem. Otwarcie wystawy było 10 września - w ostatnim dniu pleneru. Możliwość oglądania rzeźb w tym miejscu będzie do 30 października. Potem przewiezione zostaną do Muzeum Wsi Słowińskiej w Klukach. Tam wykorzystane będą w ramach zajęć edukacyjnych dla dzieci, dotyczących legend i podań słowińskich.

Gabiriela Koszutowska, Słupsk

VI Międzynarodowy Plener Rzeźbiarski dofinansowany został ze środków Województwa Pomorskiego i Powiatu Słupskiego.

Przemijanie jak spadające jesienne liście

Człowiek odkrył ogrom tajemnic sił przyrody, wyzwolił z martwej materii straszliwe energie. Mimo wszystko nie może poradzić sobie z wirusem, który jest wrogiem gorszym od wojny, bo niewidocznym.

Szybko przemija życie. Dlatego chciałabym zatrzymać jego cudowny blask. Już w czasie wojny, jako sześciolatnia dziewczynka w wsi Adamów, na tzw. wysiedleniu zauważyłam piękno przyrody. W czasie zabaw z moim kolegą Stasiem Gałwą oczarowani byliśmy pięknem białych kwiatów rosnących na polnych miedzach. Zrywałam chabry w zbożu podziwiając ich głęboki błękitny kolor. W zachwyt wprawiły mnie polacie porośnięte czerwonymi makami. Na zielonych łąkach błyszczały złociste kaczeńce, które chyba odebrały światło słońca. Będąc w lesie z ukochanym tatą na jeżynach, umiał on dostrzec głęboką zieleń liści i bordową barwę owoców. Wszystko, całe to wojenne lato, dyszało pięknem. Cóż z tego, że w górze warczały złowrogie tabuny niemieckich bombowców, lecących na Warszawę. Przyroda darzyła ludzi swoją urodą.

Fot. J. Maziejuk

Fot. jivabaty.com

Mieliśmy sąsiadkę z Warszawy, która brała udział w powstaniu. Długo nie żyła, zmarła z powodu trudnych warunków w zimie. Zbliżyła się Święto Zmarłych dlatego chciałabym wspomnieć o powstaniu. Była straszna zagłada w warszawskim getcie. Świat zamarł ze zgrozy nad okrucieństwem Niemców. Byli to „nadludzie” wyrzucający starszych, okaleczonych Żydów z pięter domów na ziemię, zabijający dzieci w objęciach matek. Palili ludzi żywcem w stodółach, w domach za pomoc Żydom. Gdzie ci mordercy są teraz? Jaką zostawili po sobie pamięć?

Gdy po klęsce Polacy opuszczali miasto w jego ruinach zostawiali żydowscy żołnierze, oni nie mogli się ujawnić, to było zbyt niebezpieczne. Wśród ruin był 25-letni Marek Edelman, ostatni dowódca powstania w getcie. Osłabiony i ranny nie miał



szans na przeżycie. Przypadek sprawił, że trafił na 18-letnią Alę Margolis, późniejszą jego żonę. Udając sanitariuszkę Czerwonego Krzyża, przechodziła boso przez pola minowe i wraz z koleżanką wyniosła na noszach przykrytego szmatami Marka. Na pytanie Niemców, kogo niosą, odpowiedziały, że chorego na tyfus człowieka. Odważni Niemcy - mordercy panicznie bali się tyfusu. Tym kłamstwem ocaliły jego i siebie. Właśnie Markowi Edelmanowi poświęciłam swój wiersz w tomiku „Smaragdowe oko świata”. Na adres w Łodzi wysłałam mu kilka książek. Otrzymałam listy z podziękowaniem i podpisem tego wielkiego człowieka.

Wielkość ludzi mierzy się ich czynami. W pamięć szczególnie zapadły mi słowa, w których Ojciec Święty Franciszek mówi abyśmy nie żyli w zamknięciu, lecz w pełni uczestniczyli w życiu. Tak czynił Marek Edelman i jego wspaniała żona Alina. Nie przyszliśmy na świat, aby wegetować, aby wygodnie spędzić życie, lecz aby po sobie zostawić dobry ślad.

Pamiętam trudne lata powojenne. Mieliśmy w Zamościu pięciohektarowe gospodarstwo. Jako mała dziewczynka pomagałam mamie w pracach polowych. Został mi z dzieciństwa taki obraz. Ciepły, pogodny letni dzień. Szłyśmy miedzą z małą siostrą. Mama wbijała w ziemię dwa kije, zawiązywała prześcieradło w nim kładła małą Elunię. Obok pachniały warzywa, rosły słoneczniki, maki. Te kije z prześcieradłem nazywały się kolebką. Moim zadaniem było pilnowanie siostry, odganianie much i kołysanie, aby zasnęła. Kiedy mama poszła po obiad, bała się że zostawię małą Elę bez opieki. Opowiedziała mi taką historię: jeśli zostawisz siostrę w południe, przyjdą wiedźmy południce i zamienią śliczną Elunię, na jakąś brzydką poczwagę. Dlatego cierpliwie czekałam na powrót mamy.

Nie ma już tego pola, na tym miejscu kuzyn zasadził las. Siostra Ela jest wspaniałą kobietą, mamą, babcią. Życie toczy się dalej. Ludzie ze wsi przestrzegają prawa współżycia człowieka ze światem fauny i flory. Głęboką słuszością odznacza się stwierdzenie Paracelsusa: „Wszystkie łąki i pastwiska, wszystkie lasy i góry są Aptekami”. Dlatego ludowa wiara w duszki czy zjawy, choć naiwna, podtrzymuje sumienie polskiej wsi, mimo ogromnej cywilizacji. Tragizm tej właśnie współczesnej kultury sprawi, że nadejdą czasy kiedy nasza dumna cywilizacja w proch się rozpadnie, a ludne, tętniące życiem miasta zamienią się w cmentarze, które przykryje warstwa grubej ziemi dzikim zielskiem zarosłej.

Może tak być, że po tysiącach lat przyjdzie z centralnej Afryki, czarny archeolog i zacznie łopatą

wykopywać szczątki murów, świątyń i kamienic wielkiej metropolii Paryża, tak ważnej w dzisiejszym świecie. Często myślę o strasznej apokalipsie drugiej wojny światowej, którą udało mi się przeżyć, jak blisko była całkowita likwidacja ludności żydowskiej. Chodziłam w Legnicy do szkoły ze wspaniałymi koleżankami żydowskimi, Sarą i Marią i w tamtych czasach nie mogłam sobie wyobrazić, że mogłyby nie żyć. Jakże bliskie było dla naszego świata widmo zagłady?

Przesuwa się przed naszymi oczami korowód kultur i cywilizacji Asyrii, Babilonii, Fenicji, Egiptu, Grecji, Rzymu. Po niektórych z nich nie zostało nic oprócz ruin przykrytych warstwą ziemi. Nasza cywilizacja, która dopuściła do tylu militarnych wynalazków w czasie drugiej wojny światowej jest krucha, a nawet ludobójcza. Polyka glebę, lasy, dzikie zwierzęta, zatrzuwa wodę, powietrze.

Teraz doszło do zarazy covidu, która może przerzedzić ludzkość. Człowiek odkrył ogrom tajemnic sił przyrody, wyzwoił z martwej materii straszliwe energie. Mimo wszystko nie może poradzić sobie z wirusem, który jest wrogiem gorszym od wojny, bo niewidocznym.

Idę radosna przez jesienny las. Z drzew spadają majestatycznie szleszczące liście. Z drogi umyka sarna z młodymi, z góry słychać krzyk dzikich gęsi, słonko prześwituje między drzewami, tworząc złoto - zieloną mozaikę. Jakiż piękny jest ten świat, tylko się zachwycić!

Ale jakie będą losy tego świata i w jaką przyszłość wiedzie jego droga? To tajemnica, którą czas oplata, a wszystko w ręku Najwyższego Boga.

Emilia Zimnicka
Izbica



Zawsze się zastanawiam, jak poznać człowieka o duszy artysty, jak go identyfikować? Jakie posiada cechy zewnętrzne i jaką ma osobowość? Czy jego twórczość jest może wielowymiarowa? Jak postrzegany jest w ocenie społecznej? Na tak stawiane pytania mój przyjaciel, doskonały artysta - kolorysta Paweł Kędzierski tak odpowiadał: - Są to osoby pozytywnie zakręcone, reprezentujące wiele uzdolnień i podlegające ciągłym inspiracjom tworzenia.

Teraz spotykałem na swojej drodze taką właśnie malarzkę, wszechstronnie utalentowaną - Dorotę Staszewską ze Słupska. Pochodzi z Kaszub Bytowskich z rodziny szczególnie umuzykalnionej. Przez całe swoje życie uprawia wiele dyscyplin artystycznych. Jak się to wszystko zaczęło? Urodziła się w małej wsi Niezabyszewo. Wychowywała w otoczeniu dużej rodziny i przy udziale liczego rodzeństwa - uzdolnionego muzycznie i wrażliwego na piękno natury. Tutaj uczęszczała do szkoły podstawowej. Tak wspomina tamten czas: - Ogryzkiem ołówka na pożółkłych kartkach papieru szkicowałam swój dom i otoczenie, a młodsze rodzeństwo śledziło każdy ruch mojego ołówka...

Już w szkole podstawowej przejawiała wszechstronne zainteresowania. Grała w przedstawieniu „Dzikie Łabędzie” wg. baśni Christiana Andersena. Później uczęszczała do Ogniska Muzycznego w Bytowie, gdzie uczyła się gry na akordeonie. Występowała w reprezentacyjnej orkiestrze młodzieżowej tamtejszego Domu Kultury. W Technikum Ekonomicznym w Szczecinku, do którego uczęszczała też angażowała się kulturalnie. Brała udział w konkursach recytatorskich, śpiewała w duecie na szkolnych uroczystościach. Czynnie uprawiała gimnastykę akrobatyczną.

Wielka przygoda spotkała ją na studiach, na Wydziale Inżynieryjno-Ekonomicznym Politechniki Szczecińskiej. Szczególnie zapamiętała ówczesnego doktora, a później profesora tej uczelni - Jana Szyrockiego (1931-2003). Był dyrygentem, kompozytorem, pedagogiem, założycielem i dyrektorem artystycznym najlepszego wówczas w Polsce Chóru Akademickiego - Politechniki Szczecińskiej. Chór ten był „towarem eksportowym” ówczesnych władz akademickich i państwowych. Rozsławiał

Taka sobie zakręcona artystka

Nie sprzedaje swoich obrazów, ponieważ aktywnie maluje dopiero od trzech lat. Myśli o przygotowaniu kolejnych wystaw. Ma też do nich szczególny, osobisty sentyment.



Polskę w wielu salach koncertowych świata. Przyjęcie do prestiżowego w kraju chóru otwierało młodej, uzdolnionej muzycznie studentce, Dorocie Staszewskiej okno na świat.

- Był to świat szczególnie, współpracowaliśmy z Filharmoniami: Szczecińską, Warszawską, Wrocławską i Poznańską. Odbywały się nasze stale koncerty w Katedrze Kamieńskiej i na festiwalach studenckich „FAMA” w Świnoujściu. Życie moje, jako studentki - wspomina tamten okres D. Staszewska - polegało na częstych próbach, wyjazdach na obozy artystyczne i koncerty. Dzięki śpiewaniu w Chórze Politechniki Szczecińskiej odbyłam tournée po Europie, Azji i Ameryce, które pozostawiły do dzisiaj we mnie niezapomniane wrażenia. Świat w czasach mojej młodości był zamknięty. Dzięki chórowi zobaczyłam, jak żyją ludzie w innych krajach, nie tylko w Europie również na innych kontynentach. Zwiedziłam muzea, podziwiałam obrazy



najsłynniejszych malarzy świata, ciekawą architekturę. Mogłam uczestniczyć w codziennym innym życiu.

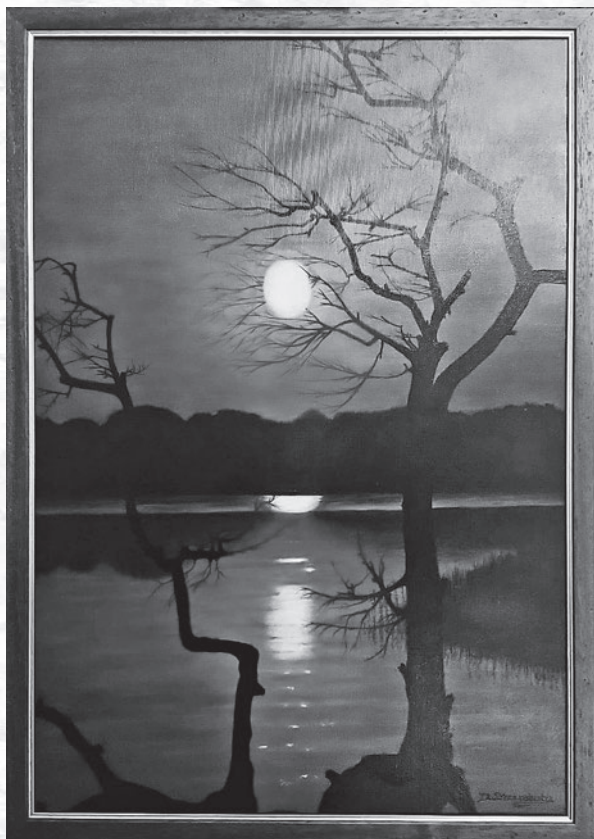
Dorota Staszewska pokazuje honorową Brązową Odznakę Polskiego Związku Chórów i Orkiestr, którą

otrzymała za śpiewanie w chorze Politechniki Szczecińskiej. Ukończyła studia w Szczecinie i jest z wykształcenia magistrem inżynierem ekonomistą, ale ukończyła jeszcze też Studium Doskonalenia Pedagogicznego, które umożliwiło jej pracę z dziećmi.

- Byłam w swoim żywiole. Prowadziłam zajęcia z dziećmi z zakresu rytmiki, gimnastyki korekcyjnej, opracowywałam układy muzyczno-ruchowe i inscenizacje oparte na literaturze dziecięcej. Ukończyłam dodatkowo Studium Animacji w zakresie pedagogiki zabawy, dzięki któremu w zajęciach z dziećmi mogłam łączyć ruch, muzykę i plastykę. Były też jeszcze Studia Poddyplomowe z pedagogiki wczesnoszkolnej na Uniwersytecie Szczecińskim - dodaje artystka.

W sumie Dorota Staszewska spędziła w Szczecinie trzydzieści dziewięć lat pracy z dziećmi. Wszechstronna edukacja i przygotowanie były jej mocną stroną. Dzisiaj swoje zainteresowania dzieli na dwie pasje, które wypełniają jej czas i dopełniają życie. Jest to malarstwo i muzykowanie. Po przejściu na emeryturę wróciła do swojej wsi rodzinnej na Kaszubach i oddała się muzykowaniu. Została liderką Kaszubskiego Zespołu Pieśni i Tańca „Kacper Leuka” przy Szkole Podstawowej w Niezabyszewie. Współpracowała także z muzykami Kaszubskiego Zespołu Pieśni i Tańca „Bytów” oraz Stowarzyszeniem „Sploty” w Niezabyszewie - jako instruktor gimnastyki dla kobiet. Wspierała choreograficznie i muzycznie powiatowe przeglądy kół gospodyń wiejskich. Niedawno odkryła swoje uzdolnienia do malarstwa. Stało się to po przeprowadzeniu do Słupska. Związała się z Uniwersytetem III Wieku i Teatrem Rondo. W tym ostatnim grała już w kilku spektaklach. Związała się również z Kaszubską Kapelą „Zgoda” promującą kaszubski folklor. Każdego roku bierze udział w Biciu Rekordu w Jednoczesnej Grze na Akordeonach w Dniu Jedności Kaszubów.

Od 2016 roku Dorota Staszewska należy do słupskiego Klubu Plastyka im. Stefana Morawskiego. Bilans współpracy z tym klubem jest ogromny, jak na krótki okres jej przynależności. Uczestniczyła już w czterech plenarach malarskich oraz trzech konkursach „Niekontrolowany Obszar Wrażliwości Artystycznej”. W 2019 roku w konkursie tym otrzymała nagrodę Prezesa Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Słupsku za obraz „Meander Słupi”. Bierze udział w Konkursie Sztuki i Ręko-



działa Artystycznego organizowanym przez Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. Wystawiła swoje prace malarskie w Kaplicy Św. Jerzego w Słupsku, Herbaciarni, Starostwie Powiatowym, Akademii Pomorskiej, w Parku Kultury i Wypoczynku - podczas Festiwalu Zespołów Folklorystycznych „Ziemia Słupska”. Poczuli się artyści.

Największym wydarzeniem w życiu malarki jest jednak indywidualna wystawa obrazów w siedzibie Starostwa Powiatowego w Słupsku, w tym roku. Tutaj wzbudziły one największe zainteresowanie. W tym roku brała udział w plenerze w Lejkowie, w gminie Malechowo. Odwiedziłem tam malarzy wspólnie z przyjacielem, przywołanym już wcześniej Pawłem Kędzierskim. Organizatorzy pleneru rozdali malarzom zdjęcia sfotografowanych krajobrazów na terenie gminy i poprosili o



ich namalowanie. Namalowany przez Dorotę Staszewską obraz nawiązywał nie tyle do malarstwa krajobrazowego, co bardziej topograficznego. Uwagę zwracały subtelnie nałożone kolory i światłocienie głazów narzutowych. Malarka przedstawiła realistycznie temat, starała się odtworzyć wiernie fragment krajobrazu udostępnionego na zdjęciu.

O swoim malarstwie mówi: - Kiedy maluję opieram się na własnej intuicji

Artysty ziemi słupskiej

- wycuciu harmonii i piękna. Moje obrazy przedstawiają zmienną tematykę w czasie. Można określić, że z ciemności poprzez światło przechodzę w tajemniczy mrok. Można ocenić, że mój gust ewoluuje w zależności od osobistego nastroju, który w danym momencie mną zawładnął.

Dorota Staszewska próbowała różnych technik plastycznych. Rozpocząła od grafitu, później były pastele miękkie, farby akrylowe. Podejmowała się też pracy z farbami olejnymi. Tematyka jej obrazów jest różnorodna. Maluje pejzaże, naturę - kwiaty, motyle, portrety. Zależy to od nastroju i duchowej motywacji. Czasem są to malarskie inspiracje związane z twórczością rosyjskich malarzy - Iwana Szyszkina czy Igora Ajwazowskiego. Z polskich malarzy są jej najbliżsi realiści: Leon Wyczółkowski, Józef Chełmoński, Józef Mehoffer. Na ich obrazy jest szczególnie uwrażliwiona. Z kolei obrazy Zdzisława Beksińskiego - ich tajemniczość, głębia metafizyczna i kolorystyka, wpływają najbardziej na wyobraźnię artystki.

Nie sprzedaje swoich obrazów, ponieważ aktywnie maluje dopiero od trzech lat. Myśli o przygotowaniu kolejnych wystaw. Ma też do nich szczególny, osobisty sentyment. Wyjątkowo podarowała kilka prac rodzinie i dwie wystawiła na licytacji podczas Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Zimą ma więcej czasu, dni są krótkie, wieczory długie. Wtedy maluje więcej. Od urodzenia jest optymistycznie nastawiona do życia.

- Kiedy ogarnie mnie minorowy nastrój, zaczynam grać na moim ukochanym akordeonie i z rzewnymi melodiami, które bezwiednie snują się po klawiaturze, odchodzą gdzieś daleko moje myśli, które mnie dołują - mówi artystka.

Na zakończenie rozmowy zapytałam Dorotę Staszewską, czy jest osobą szczęśliwą? Jak wyraża się jej szczęście? Zaskoczona tym pytaniem odpowiedziała: - Co to jest szczęście? To coś, co siedzi w środku człowieka, co trzeba stworzyć sobie samemu i nie pozwolić, by kiedykolwiek odeszło. Moje obecne życie jest jasne, gdy sprzyja mi zdrowie, to radość i energia mnie rozpiera. Staram się żyć w prawdzie, szukam miejsc i ludzi, od których emanuje dobra energia.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.eu



Fot. SAS

Entuzjastyc

Mimo wielu niesprzyjających w tym roku obostrzeń spowodowanych koronawirusem organizatorzy do końca walczyli, by mógł odbyć się 54. Festiwal Pianistyki Polskiej w Słupsku. Dziś, kiedy ucichły już jego akordy, możemy z podziwem odnieść się do tej wielkiej ogólnopolskiej imprezy, o przeszło półwiecznej tradycji.

Na koncercie symfonicznym - inauguracyjnym 54. festiwal 5 września, melomani przeżyli prawdziwą ucztę duchową na spotkaniu z klasyką i młodymi wykonawcami reprezentującymi najwyższy poziom w kameralistyce. Festiwal rozpoczął się utworem Wolfganga Amadeusza Mozarta - 23. koncertem fortepianowym A-dur, KV 488, który powstał w 1786 roku w trakcie pracy kompozytora nad „Weselem Figara”. Utwór jest pogodny, ma charakter bez troski i jest podobny do muzyki z tej opery. Część pierwsza (Allegro) ma formę dwutematowego allegro sonatowego, wzbogacanego jeszcze szeregiem innych, równie wdzięcznych i śpiewnych

melodii. Część druga (Adagio) jest ujęta w formie pieśni melancholijnej - ABA, a część trzecia (Allegro assai) to pełne temperamentu rondo, łączące znakomite elementy wirtuozowskiej gry na fortepianie z płynną i śpiewną kantylenową melodią. Wykonawcą partii fortepianowej był Krzysztof Książek - medalista i laureat najwyższych nagród w konkursach ogólnopolskich i międzynarodowych, absolwent Akademii Muzycznych w Krakowie i Bydgoszczy. Zagrał finezyjnie, w lekkim, śpiewnym, typowym stylu Mozarta o efektownych figuracjach i koronkowych ornamentach. Perliske kaskady dźwięków fortepianu rozbłyskiwały coraz to nowymi



zne otwarcie

barwami na dyskretnym tle akompaniamentu orkiestry Polskiej Filharmonii „Sinfonia Baltica” pod dyрекcją jej szefa, Rubena Silvy.

Po przerwie zaprezentowano Ludwiga van Beethovena koncertem potrójnym C-dur op. 56, poświęconym dla uczczenia 250. rocznicy urodzin tego wielkiego kompozytora. Był to bardzo wymagający koncert na skrzypce, wiolonczelę i fortepian oraz orkiestrę, który powstał w latach 1805-1806. Wszystkie trzy partie są przeciwstawiane orkiestrze, ale nie w formalnym typie concerto grosso, lecz w rodzaju symfonii koncertującej, na co wskazuje sonatowa forma dzieła i jego symfoniczny charakter. Koncert potrójny nie należy do popularnych dzieł Beethovena. Problemem zwykle jest znaleźć trzech solistów do wykonania tej interesującej kompozycji, a szczególnie trudne są do wykonania partie solowe skrzypiec i wiolonczeli. Piękną częścią tego utworu jest środkowe Largo z bardzo już rozbudowaną i romantyczną partią solową wiolonczeli, której temat przejmują potem w tercjach klarnety i fagoty. Natomiast troskliwie

jest wypracowane Allegro z dynamicznie napisanym Rondo alla Polacca. Zawiera wiele interesujących brzmienowo miejsc i ciekawie rozwiązuje problemy wynikające z przeciwstawiania orkiestrze trzech samodzielnie prowadzonych instrumentów.

W koncercie Beethovena usłyszeliśmy Celinę Cotz - absolwentkę Akademii Muzycznej z Poznania. Skrzypaczka ta jest laureatką pierwszych nagród na wielu konkursach krajowych i międzynarodowych. Występowała już w wielu krajach Europy, Azji oraz USA, m.in. w Carnegie Hall. Od 2015 roku tworzy z wiolonczelistą Maciejem Kułakowskim i pianistą Łukaszem Trepczyńskim Trio im. Wilkomirskich. Wydali płytę debiutancką z utworami Antona Arenskiego, która otrzymała nominację do prestiżowej nagrody International Classical Music Awards w 2018 roku. Wiolonczelista Maciej Kułakowski urodzony w 1996 roku w Gdańsku jest już też laureatem wielu nagród, m.in. Konkursu Królowej Elżbiety w Brukseli oraz zdobywcą pierwszej nagrody i nagrody specjalnej na X Międzynarodowym Konkursie Wiolonczelowym im.

Witolda Lutosławskiego w Warszawie. Od 2019 roku reprezentuje londyńską agencję Young Classical Artists Trust-YCAT. Artysta jest synem prof. Bogdana Kułakowskiego z Akademii Muzycznej w Gdańsku. Gra na współczesnej wiolonczeli Thorstena Theisa z 2014 roku. Z kolei pianista Łukasz Trepczyński jest absolwentem Akademii Muzycznej w Katowicach w klasie fortepianu prof. Andrzeja Jasińskiego oraz w klasie kameralistyki prof. Reginy Srokosz-Michalak. Jest doktorem sztuki i asystentem uczelni katowickiej. Obu solistom towarzyszyła orkiestra Polskiej Filharmonii „Sinfonia Baltica” pod batutą Rubena Silvy.

A jak przebiegła część oficjalna festiwalu, która zainaugurowała to prestiżowe dla Słupska doroczne przedsięwzięcie? Najpierw orkiestra Polskiej Filharmonii „Sinfonia Baltica” im. Wojciecha Kilara wykonała hymn narodowy, następnie usłyszeliśmy wspaniałe wystąpienie prezydent Słupska, Krysiny Danileckiej-Wojewódzkiej. Przypomniała w nim historię słupskich festiwali i osoby, które twórczo przyczyniły się do powstania i kontynuacji tej pięknej idei. Szczególnie dziękowała obecnemu kierownictwu Słupskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego w osobach: Mieczysława Jaroszewicza (przewodniczący), Stanisława Turczyka (wiceprzewodniczący) i Haliny Chmieleckiej (sekretarz). Pani



prezydent w swojej wypowiedzi wyraźnie podkreśliła wierność festiwalowej tradycji, mówiła też o wartościach nieprzemijających i następujących zmianach pokoleniowych, które kontynuują piękny dorobek kulturalny miasta. Przemówienie to można stawiać jako przykład wspaniałego wystąpienia humanistki, które zauroczeni słuchacze odbierali ze szczególną wnikliwością. Były to bardzo precyzyjne słowa połączone z cytowanym Pitagorasem i Owidiuszem.

Miłym akcentem był przysłany przez małżeństwo profesorów Cwojdzinśkich - bardzo zasłużonych dla Festiwalu Pianistyki Polskiej w Słupsku, na ręce pani prezydent miasta bukiet okolicznościowych kwiatów i życzenia dla organizatorów. Postem w nastrój muzyczny wprowadził profesjonalnie słuchaczy niezastąpiony konferansjer - narrator wcześniejszych festiwali, Andrzej Zborowski. Przybliżył historię poszczególnych utworów, prezentował wykonawców oraz ich dotychczasowe osiągnięcia. Na widowni zasiadła publiczność w maseczkach i wypełniła ją w połowie - zgodnie z wymogami sanitarnymi. Wyczuwało się wśród słuchaczy wielką radość z kontaktu z muzyką festiwalową i naszą, słupską orkiestrą po długiej, przymusowej rozłące spowodowanej koronawirusem. Wykonanie dwóch

utworów publiczność nagrodziła gorącymi oklaskami, żegnając artystów na stojąco. Długo komentowano też to wydarzenie muzyczne, chwając dobór repertuaru i wykonawców. Cały festiwal został przygotowany perfekcyjnie, w każdym z sześciu dni odbywały się przesłuchania Estrady Młodych, prezentacja Salonu Laureatów i imprezy towarzyszące. Między innymi w Sali im. Barbary Zielińskiej w Białym Spichlerzu odbył się innowacyjny II koncert z cyklu „Witkacy - obrazy w dźwięku”. Podczas tego koncertu rozbrzmiewała muzyka w wykonaniu Beaty Bilińskiej i duetu Urszula Janik-Lipińska, Joanna Kaczmarek-Bieżyńska. W pierwszej części wieczoru wystąpiła z recitalem fortepianowym Beata Bilińska, zasłużona pianistka i kameralistka, profesor Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach. Zachwyliła słuchaczy wirtuozowską grą i oczarowała urokiem osobistym. Wykonała oszałamiająco Poloneza-Fantazję As-dur op. 61 Fryderyka Chopina, zaliczany do najwyższej doskonałości i największej potęgi polonezów As-dur czy A-dur. Artystka przedstawiła doskonale charakter utworu, było to dynamiczne pianistyczne brzmienie partii fortepianowej, wykonane bardzo efektowne i pełne blasku. Następne utwory wykonane przez Beatę Bilińską to Wariacje



b-moll op. 3 Karola Szymanowskiego i II Sonata Fortepianowa Grażyny Baciewicz. Wszystkie utwory zostały przyjęte entuzjastycznie, oddawały piękno muzyki i niezależne, oryginalne, indywidualne ich koncepcje brzmieniowe. Artystka wielokrotnie bisowała i widownia owacyjnie, na stojąco ją żegnała. Melomani z pewnością na długo pamiętają niepowtarzalny recital fortepianowy tej jednej z najznakomitszych pianistek polskich. W części drugiej wieczoru zaprezentował się duet: Urszula Janik-Lipińska (flet) i Joanna Kaczmarek-Bieżyńska (fortepian). Występ tych artystek stanowił najważniejszy punkt wieczoru. Było to bowiem światowe

prawykonanie utworu zamówionego przez organizatorów słupskiego festiwalu, inspirowane kolekcją dzieł Witkacego ze zbiorów Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. Tomasz Bielski, zasłużony kompozytor muzyki teatralnej i filmowej, instrumentalista i aranżer opracował trzy miniatury na flet i fortepian na podstawie wybranych obrazów Witkacego: „Kuszenie św. Antoniego”, „Falsz kobiety” i „Kompozycja z tancerką”. Znakomity duet, dla którego została napisana ta kompozycja z wielką starannością ją wykonał i z aplauzem został przyjęty przez słuchaczy. Występ ten został poprzedzony wykonaniem przez ten sam duet utworów kompozytorów francuskich: Claude’a Debussy’ego, Francisca Poulenca i Oliviera Messiaena. Wszystkie wykonania

w zapowiedziach oraz ciepło prezentował ich wykonawców.

Na zakończenie festiwalu 10 września odbył się Koncert Symfoniczny dla uczczenia 250-lecia urodzin Ludwiga van Beethovena. Wysłuchaliśmy V Koncertu Fortepianowego Es-dur „Cesarski” op. 73, 1. Allegro, 2. Adagio un poco mosso, 3. Rondo: Allegro ma non troppo. Jest to dzieło życia Ludwiga van Beethovena, powstało w 1809 roku. Jest uwieńczeniem szczytowej formy w klasycznej muzyce. Kompozytor konsekwentnie zmierza w nim do rozwoju swojego stylu i doprowadza do uzyskania idealnej równowagi między treścią emocjonalną a elementami wirtuozowsko-improvizowanymi, do genialnego zespolenia pierwiastków oryginalnej techni-

W Słupsku wykonawca utworu Beethoven’a zaprezentował wszystkie swoje umiejętności, niewyczerpane zasoby talentu, aby oddać piękno dzieła tego kompozytora. Koncert rozpoczął improwizacją fortepianową wspartą na trzech akordach orkiestry, potem nastąpił potężny występ orkiestry. W pierwszej części został zachowany radosny nastrój tak jednolicie, że nawet poboczny temat nie kontrastował z głównym, lecz stanowił ujęcie tej samej myśli w bardzo śpiewny sposób. Temat pojawiał się w coraz to innych przekształceniach i ujęciach wykonywanych przez pianistę, który prezentował wariacyjny rodzaj techniki. W drugiej części utworu solista rozpoczął partię fortepianową spokojnie, jakby fantazjując, potem podjął podaną przez orkiestrę oryginalną w swym liryzmie melodię. Był to nagły, śmiały zwrot, który prowadził harmonicznie i bezpośrednio z cicho przebrzmiewającego Adagio do żywego Ronda - trzeciej części utworu. Główny temat rozpoczął fortepian, początkowo niepewnie, jakby ociągając się, by potem z tym większym zdecydowaniem tryskać radością i siłą utworu.

Wszystkie partie były błyskotliwie wykonane, urzały interpretacją utworu. Sprawilo to, że Szymon Nehringa musiał bisować na zakończeniu koncertu i był długo wywoływany na scenę gromkimi oklaskami stojących słuchaczy. Odrębne uznanie należy się znakomitej słupskiej orkiestrze i Andrzejowi Zborowskiemu, który uprzedził, że w tym utworze „otworzy się muzyczne niebo”.

Pierwsza część wieczoru należała jednak do laureatów „Estrady Młodych”. Występy solowe, wręczenie dyplomów i wyróżnień zakończyły zmagania pianistów w konkursie. W koncercie finałowym wystąpili: Martyna Kubik (Arabeska C-dur Schumanna), Bartłomiej Kokot (dwie Etiudy e-moll i c-moll F. Chopina) i Piotr Pawlak (Fantaisie - Impromptu cis-moll Chopina, parafraza pieśni „Życzenie” Chopina). Kamil Pacholec jest czwartym laureatem, ale nie zagrał, bo musiał wcześniej wyjechać ze Słupska. On i Piotr Pawlak będą uczestnikami XVIII Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego.

54. Festiwal Pianistyki Polskiej w Słupsku przejdzie do historii z pewnością jako imponujące przedsięwzięcie o niepowtarzalnym programie i udziale wybitnych wykonawców.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.eu



były nagradzane rzesistymi brawami i nie obyło się bez bisów.

Był to już drugi koncert inspirowany obrazami Witkiewicza wykonany w słupskim muzeum. Jego pomysłodawcą jest Jan Popis - muzykolog, krytyk muzyczny, redaktor, który w imieniu organizatorów festiwalu przekazał uroczyste nuty prawykonania utworu na ręce Marzenny Mazur - dyrektora Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. Wieczór ten został również wzbogacony przez Jana Popisa - dyrektora artystycznego 54. słupskiego pianistycznego festiwalu. Z wielkim znanstwem dokonywał on wprowadzenia do wykonywanych utworów, charakteryzował je

ki pianistycznej i symfonicznej. Dzieło to nawiązuje do ulubionych od czasów rewolucji francuskiej tzw. koncertów wojskowych. Wykonał je Szymon Nehring z Orkiestrą Polskiej Filharmonii „Sinfonia Baltica”. Jest to pianista młodego pokolenia, też laureat wielu konkursów i nagród. Koncertywał już w wielu krajach Europy, Ameryki i Azji. Studiuję obecnie pod kierunkiem prof. Borisa Bermana w Yale School of Music. Jest jedynym Polakiem, który otrzymał pierwszą nagrodę na Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym Artura Rubinsteina w Tel Awiwie - jednym z najważniejszych konkursów pianistycznych na świecie.



Słupskie winyle stały się dla mnie inspiracją

Z Leszkiem Możdżerem, najwybitniejszym polskim muzykiem jazzowym młodego pokolenia na Wieczorze Jazzu podczas 54. Festiwalu Pianistyki Polskiej w Słupsku – rozmawia Włodzimierz Lipczyński

- **Panie Leszku, chciałbym, żeby Pan na początku przybliżył naszym czytelnikom początki swojej edukacji muzycznej w rodzinnym Gdańsku? Kiedy przyszło zainteresowanie jazzem i jakie szczeble muzyczne należało pokonać, żeby dojść do klasy mistrzowskiej?**

- Pierwsze lekcje fortepianu pobierałem u pani Zofii Pietras, miałem wtedy pięć lat. Nauczyłem się podstaw gry oraz zacząłem czytać nuty. Napisałem nawet swoje pierwsze kompozycje. Później, w wieku lat siedmiu dostałem się do Szkoły Muzycznej im. Feliksa Nowowiejskiego, gdzie zostałem przyjęty do klasy Krystyny Marciniak, która ustawiła mi cały aparat, nauczyła precyzji zdejmowania klawisza, tzw. „odskok palca”, bowiem w graniu

obok uderzenia, liczy się też precyzyjne zakończenie każdego dźwięku. Dopiero świadomość dźwięku od jego początku do końca daje perlisty dźwięk.

Po sześciu latach edukacji u pani Marciniak przyjechała mnie do klasy Grażyna Fiedoruk-Sienkiewicz, z którą nie rozumiałem się najlepiej, ale pokazała mi wspaniałe rzeczy dotyczące techniki fortepianowej: przenoszenie rąk w ruchu poziomym, repetycje, technikę kcikową oraz świadome użycie napiętej ręki w celu uzyskiwania określonych efektów. Do tej pory myślałem, że walczy się o luźną rękę podczas grania, tymczasem okazało się, że przy umiejętnym stosowaniu napięcia można uzyskać świetne efekty.

Następną moją profesorką była Elżbieta Tarnawska, która sama była

wyczynową koncertującą pianistką, więc patrzyła na warsztat pianistyczny od strony psychologii i panowania nad całością muzycznej formy. Bardzo mnie podbudowywała psychicznie i uczyła operowania nastrojem, budowania napięcia oraz kolorystyki brzmienia. Średnią Szkołę Muzyczną skończyłem w klasie Wandy Kłosowskiej, która z kolei pokazała mi elementy pianistyki decydujące o jakości mojego brzmienia, dołożyła do mojego warsztatu kluczowy element, mianowicie świadomość konstrukcji dźwięku klawisza. Nauczyła mnie wyczucia klawisza, operowania jego ciężarem, co dało mi łatwość zapanowania nad każdym fortepianem. Uzyskałem świadomość, że istotą pianistyki nie jest naciśkanie na klawiaturę, ale podrzucanie

młotków za pomocą dźwigni każdego klawisza.

Studia na Akademii Muzycznej spędziłem w klasie Andrzeja Artykiewicza, który okazał się dla mnie wymarzoną profesorem, ponieważ miałem już wtedy mnóstwo zawodowej pracy jako muzyk jazzowy i bez jego pomocy nie zdołałbym ukończyć studiów. On pomagał mi sensownie rozkładać energię na poszczególne działania, sam był bardzo sprawnym pianistą realizującym przeróżne mniejsze lub większe zlecenia. Nauczył mnie jak się ze wszystkim wyrobić tak, żeby się nie przepracować, ale uzyskać optymalny efekt. Wtedy zaczynałem już opuszczać zajęcia na uczelni z racji licznych wyjazdów koncertowych i on bardzo mi pomógł przejść przez te studia. Krył moje nieobecności i zawsze stał w mojej obronie, dzięki czemu ukończyłem studia. Co prawda z rocznym opóźnieniem, ale uzyskałem dyplom Akademii Muzycznej. Tak więc trafiałem na odpowiednich nauczycieli w odpowiednim czasie i każdy z nich pokazał mi rzeczy, których używam do dzisiaj.

- Jak Pan ocenia środowisko i tradycje muzyczne Słupska? Co było najciekawsze w repertuarze i wykonaniu 54. Festiwalu Pianistyki Polskiej w Słupsku, w którym Pan uczestniczył? Proszę też przybliżyć dotychczasowe swoje kontakty i więzi ze Słupkiem.

- Festiwal Pianistyki Polskiej w Słupsku odcisnął na mnie piętno, bo w latach dziewięćdziesiątych trafiły do mnie płyty winylowe wydawane podczas tego festiwalu. Wysłuchiwałem tych płyt godzinami i usłyszałem wtedy literaturę pianistyczną, która bardzo pobudziła moją wyobraźnię. Tam były nagrane bardzo dobre wykonania, płyty były przekrojowe, można było wysłuchać wielu pianistów w przebogatym repertuarze. Nie było wtedy łatwo o nagrania, więc te winyle stały się dla mnie wielką inspiracją. Zagranie wtedy na estradzie słupskiego festiwalu stało się moim marzeniem.

- Jak ocenia Pan środowisko muzyczne w Polsce w zakresie Pańskiej specjalności, w porównaniu do światowych standardów i osiągnięć? Kto jest dla Pana autorytetem w muzyce jazzowej w kraju i na świecie? Jak się układa współpraca w zakresie organizacji przedsięwzięć muzycznych i czy można liczyć na pomoc od lokalnych samorządów?

- Polska szkoła pianistyczna ma bardzo mocną tradycję, Polscy profesorowie wykładali na uniwersytetach

muzycznych na całym świecie. Mam poczucie, że polska pianistka jest wspaniała, czasami prowadzę kursy mistrzowskie na różnych uczelniach i dziwi mnie, że pianiści nie wiedzą podstawowych rzeczy: jak siedzieć przy fortepianie, co robić z łokciem, jak naciskać na klawiaturę wspomagając się ciężarem korpusu... To są rzeczy, które tłumaczono mi już jak miałem siedem lat, tymczasem widzę pianistów na światowych uczelniach, którym nikt tego nie powiedział. Myślę, że polska szkoła pianistyczna ma doskonałe narzędzia, żeby kształcić pianistów, dlatego często zjeżdżają do Polski adepci pianistyki z całego świata. Jeżeli chodzi o autorytety to jest ich bardzo dużo, trzeba pamiętać o tym, żeby zbierać informacje z wielu możliwych źródeł i zrobić sobie z nich własny destylat. Pracuję jako dyrektor artystyczny przy kilku dużych przedsięwzięciach, ale zajmuję się tylko sprawami artystycznymi, nie mam świadomości jak są one finansowane, chociaż nauczyłem się szanować „budżet” i biorę ten element pod uwagę podczas planowania. Jednak ciągle dla mnie pieniądze to tylko zadrukowany papier, albo punkty na monitorze. Nie mam do nich szczególnego szacunku i nie wiem, skąd się je załatwia.

- Jakie widzi Pan perspektywy swojej dalszej działalności i kariery muzycznej? Jak ma Pan najbliższe plany, jakie jeszcze marzenia artystyczne? Proszę opowiedzieć też o swoich doświadczeniach przy nakręcaniu filmu „Ikar. Legenda Mietka Kosza”, któremu użyczył Pan swojej muzyki, jako wirtuozowi fortepianu.

- Tym, co mnie najbardziej interesuje, jest uzyskanie własnego oblicza w twórczości. Staram się teraz intensywnie penetrować świat wewnętrznej wyobraźni aby doprowadzić do powstania swoich własnych, oryginalnych rzeczy. Moje marzenia dotyczą uzyskania niepowtarzalnego kolorytu swojej gry na fortepianie, staram się wprowadzać do improwizacji nowe faktury, które stopniowo wypracowuję podczas ćwiczeń. Zaczynam coraz bardziej uruchamiać lewą rękę, ale mam jeszcze dużo pracy przed sobą jeżeli o to chodzi. Praca nad filmem „Ikar” pochłonęła ponad rok mojego życia i pochłonęła bardzo dużo mojej energii życiowej, szczerze mówiąc chciałbym już o tym zapomnieć, bo praca przy produkcji filmowej wiąże się z ogromnym napięciem dotyczącym terminów, oraz wymaga elastyczności dotyczącej wprowadzania zmian i poprawek. Nie można się przywiązywać do swoich własnych pomysłów, a to bywa bolesne, bo uderza w Ego. Przy „Ikarze” było bardzo dużo pracy, która nie była łatwa, ale efekt jest dobry, publiczność i branża doceniła mój wysiłek, za co bardzo dziękuję.

- Proszę przybliżyć swoje dowcipy - przerwyniki estradowe, zainteresowania, pozamuzyczne pasje i uchylić rąbka tajemnicy na temat Pańskiej rodziny.

- Mówienie do mikrofonu podczas występów traktuję jako wprowadzenie nowej barwy dźwięku, dzięki czemu publiczność może odpocząć od brzmienia fortepianu. Wypadałoby mieć coś sensownego do powiedzenia, więc staram się intonować jakieś interesujące



treści, kiedy mówię do mikrofonu. Pasjonuje mnie natura świadomości oraz konstrukcja makrosocjalnych systemów społecznych, mam na ten temat trochę przemyśleń, które staram się w żartobliwy sposób przedstawić słuchaczom. Wolnego czasu praktycznie nie mam, zawsze znajdę sobie coś do roboty, a że praca na scenie jest bardzo stresująca, to mój organizm potrzebuje czasem dobrze pospać, bo tylko w ten sposób może zniwelować substancje wytwarzane podczas stresu. Rodziny nie założyłem, uważam, że obecny system utrudnia prawidłowe funkcjonowanie rodzin, dlatego w ogóle nie zabieram się za to. Aby dzieci miały prawidłowe wychowanie, musiałbym stworzyć wokół nich środowisko w rodzaju komuny złożonej z kumatych, mądrych ludzi, bo państwowy system edukacji zabija w dzieciach zdolności twórcze i fragmentuje ich umysły ucząc, że fizyka, chemia, historia, języki, biologia czy matematyka funkcjonują jako osobne zjawiska. Tymczasem żadna z tych dziedzin nigdy w życiu nie występuje w oderwaniu od pozostałych. Człowiek kształcony w taki sposób łatwy jest do manipulowania, bo nie łączy ze sobą poszczególnych faktów i nie odbiera rzeczywistości jako całości, w której wszystkie procesy są ze sobą nawzajem sprzężone, tylko widzi każde zjawisko jako osobne wydarzenie, nie powiązane z innymi zjawiskami.

- Dziękuję Panu za tę interesującą rozmowę.

**Rozmawiał:
Włodzimierz Lipczyński
Słupsk**

Sprostowanie

W tekście „Powstanie elektroniczny zielnik” zamieszczonym w lipcowo-sierpniowym wydaniu Powiatu Słupskiego (Nr 7-8/2020) znalazła się nieprawdziwa informacja o tym, iż projekt „Herbarium Pomeranicum” realizuje słupska Fundacja Imperio. Realizuje go Akademia Pomorska w Słupsku w partnerstwie z Uniwersytetami - Szczecińskim i Gdańskim, i to Zespół Herbarium Pomeranicum przygotował informację o projekcie do druku. Za te niezamierzone nieścisłości przepraszamy.

Redakcja

Słupsk powinien

Z prof. zw. dr hab. Bogdanem Kułakowskim, byłym rektorem Akademii Muzycznej w Gdańsku, współorganizatorem 54. Festiwalu Pianistyki Polskiej w Słupsku – rozmawia Włodzimierz Lipczyński

- Ma Pan swoje rodzinne „komrzenie” w Słupsku i jest chlubą naszego lokalnego środowiska muzycznego. Corocznie wspiera Pan swoim udziałem zespół organizacyjny Festiwalu Pianistyki Polskiej, który rozsławia Słupsk na estradach Polski. Proszę przypomnieć naszym czytelnikom, jakie były początki Pana edukacji muzycznej w

rodzinnym Słupsku? Gdzie rozpoczął Pan naukę gry na fortepianie, kiedy przyszedł zainteresowania naukowe i pedagogiczne?

- Edukację ogólną rozpocząłem w wieku siedmiu lat w Szkole Podstawowej nr 2 w Słupsku, zaś edukację muzyczną w Państwowej Szkole Muzycznej rok później, gdzie moim pierwszym nauczycielem fortepianu



Fot. Z. Bieleckiego

się tym chwalić

była pani mgr Lange. Maturę zdałem po czterech latach nauki w I Liceum Ogólnokształcącym przy ulicy Szarych Szeregów w 1976 roku. W 1977 ukończyłem z wyróżnieniem Państwową Szkołę Muzyczną II stopnia. w klasie niezapomnianej prof. Barbary Zielińskiej. W tym samym roku rozpocząłem studia w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej (obecnie Akademia Muzyczna) im. St. Moniuszki w Gdańsku w klasie fortepianu prof. Zbigniewa Śliwińskiego. Studia ukończyłem w 1982 roku, otrzymując dyplom z wyróżnieniem. W tym roku zostałem wyróżniony Nagrodą Ministra

Kultury za wybitne osiągnięcia naukowe. Na uczelni pracuję nieprzerwanie od października 1982 roku; do 1989 pracowałem na stanowisku asystenta, później - po zaliczeniu kwalifikacji I stopnia (obecnie doktorat) - na stanowisku adiunkta, od 2011 roku do chwili obecnej na stanowisku profesora zwyczajnego. Kwalifikacje II stopnia otrzymałem w 1999 roku (obecnie habilitacja), zaś tytuł profesora sztuki muzycznej wręczył mi prezydent RP Bronisław Komorowski w 2011 roku.

- Jak Pan ocenia środowisko i tradycje muzyczne w Słupsku i jak zapamiętał Festiwal Pianistyki Polskiej?

Proszę opowiedzieć też o obecnych kontaktach ze Słupskiem.

- Ocena muzycznego Słupska, dla mnie osobiście, jest jednoznacznie pozytywna. To zasługa Słupskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, prężnie działającej orkiestry „Sinfonia Baltica” czy wreszcie szkoły muzycznej, która mimo trudności prowadzi swoją działalność edukacyjną. Słupsk jest, w porównaniu do na przykład Gdańska, małym ośrodkiem. Stawia na kulturę i władze miasta powinny to pielęgnować i kultywować. Festiwal Pianistyki Polskiej jest na swój sposób flagowym wydarzeniem już od pięćdziesięciu czterech lat. Moja przygoda z nim zaczęła się jak miałem bodaj czternaście lat. To zasługa prof. Zielińskiej, która niemalże wymagała chodzenia na koncerty. Później na lekcjach omawialiśmy koncerty z naszego punktu widzenia. Nie bez znaczenia jest to, że kilka lat później w dobrym tonie było pokazać się z dziewczyną na festiwalu! Tym bardziej, że byliśmy uczniami najlepszej szkoły w Słupsku w owym czasie, jakim było I Liceum Ogólnokształcące. Mieliśmy duże aspiracje dotyczące kultury, pamiętam „młode” spektakle teatralne (ze szczególnym uwzględnieniem Kabaretu Starszych Panów), akademie z okazji różnych rocznic (chyba nie muszę precyzować, jakie to były akademie), ale też koncerty, wieczory poetyckie itp. Jako pianista byłem „wykorzystywany” we wszelaki sposób. Nie bez mojej wielkiej radości. Ogólniak dał mi intelektualne podwaliny do dorosłego życia i pozwolił uwierzyć w siebie. Większość nauczycieli prezentowała naprawdę wysoki poziom, a my na tym korzystaliśmy. Byliśmy też ambitni, lubiliśmy sport (potrafiłmy przychodzić na siódmą rano, żeby do ósmej pograć w piłkę i spoceni wpadać na pierwszą lekcję!). Do dzisiaj utrzymujemy kontakt i spotykamy się regularnie co kilka lat. Szkoła Muzyczna też miała swoje pedagogiczne „ikony”. Oprócz prof. Zielińskiej, o której już wiele napisano i której wiele zawdzięczam, wymienilibym prof. Bezeg - inteligentną i czasem sarkastyczną, czy pedantycznego prof. Roeslera, układającego linijkę, długopis i zegarek z geometryczną precyzją. Można by długo snuć wspomnienia, jedno jest pewne - czas szkoły w Słupsku nie był czasem straconym. Może dodam, iż mając dwie szkoły generalnie niewiele spałem, żeby ze wszystkim się wyrobić. Zwłaszcza z ćwiczeniem na fortepianie, a przecież



było jeszcze życie towarzyskie. Wtedy, na szczęście, komórek nie było. Byli ludzie, a wśród nich m.in. dzisiejsza pani prezydent Słupska Krystyna Danielecka-Wojewódzka, z którą mieliśmy w ostatniej klasie liceum język polski. Już wtedy dała się poznać jako kobieta z wielkim temperamentem i zacięciem oratorskim, ale też jako społeczniczka. Cieszę się, że dzisiaj pełni tak ważną funkcję i realizuje się osobowościowo.

Słupsk jest dla mnie osobiście jednym z najważniejszych miejsc w moim życiu. Mój stryj Franciszek przyjechał do Słupska w 1949 roku, po nim dotarło dwóch braci - Kazimierz (mój ojciec) i najmłodszy Romuald. Wraz z nimi przyjechali rodzice, a moi dziadkowie - Julia i Władysław zostali przesiedleni z Jezioran Polskich, miejscowości koło Łucka (dzisiaj Ukraina), gdzie cała rodzina Kułakowskich mieszkała przed wojną. Mama zaś przyjechała do Słupska w 1954 roku wraz z dwoma braćmi, opuszczając dom rodzinny na południu Polski. (Czarna Tarnowska, koło Tarnowa). Tak zaczęła się nasza historia w Słupsku. Rodzice wykupili kamienicę na ulicy Raszyńskiej, gdzie do dziś mieszka moja mama i ciocia. Był czas, że przez wiele lat cała rodzina Kułakowskich mieszkała w tym domu zajmując trzy kondygnacje. W piwnicy stał dość zniszczony fortepian (po rodzinie niemieckiej), który był jakąś moją pierwszą inspiracją i kontaktem z dźwiękami i muzyką. Tym bardziej, że żona stryja Franciszka zachęcała nas do prób muzycznych mając podstawy wykształcenia muzycznego. Potem to już była szkoła, ćwiczenie i dorastanie. Trzej Kułakowscy seniorzy, niestety już nie żyją; potomkowie stryja Franciszka mieszkają poza granicami Polski, my z bratem zostaliśmy w Polsce, moja siostra Małgorzata mieszka w Niemczech. Na szczęście często odwiedza dom rodzinny i nie traci kontaktu zarówno z mamą, jak i nami.

Odwiedzam w miarę możliwości dom rodzinny, w którym mieszka moja wspaniała mama i gdzie zawsze czuję się znakomicie. W Słupsku mieszka też brat Leszek, postać nietuzinkowa, kompozytor, aranżer, świetny muzyk jazzowy, organizator jesiennego Komeda Jazz Festiwal. Tak na marginesie, jest to impreza najwyższej rangi, podczas której można usłyszeć wybitnych muzyków jazzowych z USA i Europy. Brat, wraz z małżonką Reginalą, wkłada mnóstwo pracy i zapału w przygotowanie tego znakomitego festiwalu.

- Jak Pan ocenia środowisko muzyczne w Polsce w zakresie Pana specjalności? Kto jest dla Pana autorytetem muzycznym w pianistyce polskiej i światowej? Jak układa się Panu współpraca z samorządami lokalnymi w zakresie organizacji przedsięwzięć muzycznych?

- Polska pianistyka ma się bardzo dobrze, o czym mogliśmy przekonać się podczas ostatniego festiwalu. Cieszy liczna grupa młodych, świetnie grających i muzycznych artystów. Wystarczy wymienić Szymona Nehringa, Krzysztofa Książkę, Kamila Pacholca czy Piotra Pawlaka z gdańskiej uczelni. Motorem napędowym polskiej szkoły pianistycznej jest - dla mnie osobiście Fryderyk Chopin, którego genialna muzyka była, jest i będzie inspiracją dla szerokiego grona adeptów fortepianu, ale też i słuchaczy. Mamy w kraju wybitnych pedagogów na czele z prof. Jasińskim i prof. Popową-Zydrów. To oni wykształcili i przygotowali do życia estradowego dwóch genialnych pianistów - Krystiana Zimmermana i Rafała Blechacza. Obaj występowali zresztą w Słupsku, co uważam za wielki zaszczyt. Słupsk powinien się tym chwalić! Jeszcze słowo o publiczności festiwalowej. Mamy grupę stałych bywalców, wyrobionych muzycznie fanów kochających wrześnie wieczory, ale dostrzegam brak zainteresowania u młodych ludzi. Trzeba opracować jakiś sensowny program, który pozwoli przyciągnąć młodzież do festiwalu i muzyki w ogóle. My się staramy, festiwal będzie, mam nadzieję, trwał i byłoby fatalnie gdyby zabrakło publiczności. Ale może nie będzie tak źle? Oby...

- Jakie są perspektywy Pana dynamicznej działalności naukowej i kariery muzycznej? Jak ma Pan najbliższe plany? Proszę też przedstawić naszym czytelnikom młode pokolenie rodziny Kolakowskich. Zaawansowanego muzycznie syna Macieja - wiolonczelistę mieliśmy przyjemność słuchać na tegorocznym słupskim festiwalu pianistycznym. Wzbudził zachwyt u słuchaczy występując z Trio im. Wilkomirskich i wykonując z tym zespołem trudne partie Koncertu potrójnego C-dur op. 56 Ludwiga van Beethovena.

- Moje perspektywy? W zasadzie jestem człowiekiem spełnionym pod każdym względem: zawodowym, osobistym i po trosze artystycznym. Dzisiejszy świat muzyczny (i nie tylko muzyczny) rozwija się niezwykle dynamicznie,

poziom młodych artystów jest niezwykle wysoki i trzeba zrobić wszystko, by umożliwić im dostęp do filharmonicznych sal koncertowych, prestiżowych występów na festiwalach, konkursach czy wydarzeniach krajowych i międzynarodowych. Mam wrażenie, że moje pokolenie miało chyba łatwiejszy start, bo było nas - studentów kończących uczelnie muzyczne - mniej i jeśli ktoś się szczególnie wyróżniał, mógł liczyć na pomoc. Dzisiaj oczywiście jest mnóstwo programów - jak choćby „Młoda Polska”, które przyznają środki finansowe na określone cele artystyczne bądź pomocowe, jak zakup instrumentów, nagranie płyty etc. Myślę, że nie istnieje w Polsce rynek agencji artystycznych, których działania pozwoliłyby artystom skupić się na tym, co kochają najbardziej - na swojej sztuce, by nie musieli być menadżerami samych siebie. Mówię o tym mając na myśli syna, który dostał się w drodze konkursu (startowało ponad stu młodych instrumentalistów z całego świata, przyjęto tylko siedmiu) do londyńskiej agencji muzycznej Young Classical Artists Trust. Dzięki temu, ma zapewnione koncerty i recitale w wielu renomowanych salach w Anglii i Europie nie martwiąc się o dojazd czy miejsce w hotelu. Poza tym to skromny człowiek o niezwykłej kulturze osobistej i ogromnym talencie. „Przeskoczył” rodziców o lata świetlne (!) i życzyć mu trzeba szczęścia w tym niełatwym świecie.

- Proszę opowiedzieć jeszcze o swoich innych niż muzyczne zainteresowaniach. Jak Pan spędza swój wolny czas?

- Uwielbiam odpoczywać na świeżym powietrzu. Pewnie nie jest wielką tajemnicą, że gram regularnie w tenisa, żegluję na Mazurach (są absolutnie zjawiskowe (!) i - co warto podkreślić - bardzo poprawia się infrastruktura), jeżdżę całkiem dobrze na nartach i kąpię się w Bałtyku cały rok, jeśli czas na to pozwala. Moja żona Monika jest pianistką i pracuje na gdańskiej uczelni na Wydziale Dyrygentury Chóralnej, Muzyki Kościelnej, Edukacji Artystycznej, Rytmiki i Jazzu. Mam dwoje dzieci: syna Macieja, o którym wspominałem i córkę Agnieszkę - również wiolonczelistkę, choć aktualnie pracuje w branży turystycznej.

- Bardzo dziękuję za te rozmowę i poświęcony nam czas.

**Rozmawiał:
Włodzimierz Lipczyński
Słupsk**

Przeszkodził Covid-19

W podróżach po Polsce zawsze zmierzając z wycieczką do Warszawy proponuję turystom, by zajechali do Żelazowej Woli, gdzie urodził się i przez pół roku mieszkał z rodzicami nasz największy kompozytor, Fryderyk Chopin. Zachęcam też, by zajechali do Brochowa, do tamtejszego kościoła parafialnego, w którym przyszedł na świat i został ochrzczony.



Do kościoła parafialnego w Brochowie należała Żelazowa Wola. W miejscowości tej Chopin nie przebywał długo, bo wkrótce po narodzinach, jego ojciec Mikołaj Chopin otrzymał posadę w Liceum Warszawskim i rodzina Chopinów przeprowadziła się do Warszawy.

W tym roku cały świat muzyczny chciał czcić 210. rocznicę urodzin Fryderyka specjalnymi koncertami, festiwalami i okolicznościowymi wydawnictwami. Wiele imprez się odbyło, ale wielu w zorganizowaniu przeszkodziła pandemia Covid-19. Dla przypomnienia tej ważnej daty dla Polski i całego muzycznego świata chciałbym przybliżyć, jako historyczną ciekawostkę, dwa dokumenty dotyczące urodzenia i chrztu wielkiego polskiego pianisty i kompozytora. Dodam tylko, że Fryderyk Chopin przyszedł na świat w Żelazowej Woli 22 lutego 1810 roku w majątku należącym do hrabiów Skarbów, jako syn Mikołaja, spolonizowanego Francuza, pełniącego tam funkcję guwernera i Tekli Justyny z Krzyżanowskich. Data urodzenia Fryderyka budzi wątpliwości wśród badaczy jego biografii. W metryce chrztu zapisano, że przyszedł on na świat 22 lutego 1810 roku, ale on sam i jego rodzina uznawali datę 1 marca 1810 roku.

Jak już nadmieniałem, zachował się zarówno akt chrztu jak i akt urodzenia Fryderyka Chopina. Oba zostały sporządzone w Brochowie, w siedzibie parafii, w drugim dniu Świąt Wielkanocnych, które w 1810 roku przypadały 23 kwietnia. Kościelny akt chrztu odkrył ksiądz Tomasz Bielawski, brochowski proboszcz i opublikował go w 1893 roku w „Echu Muzycznym” oraz „Słowie”. Natomiast cywilny akt urodzenia odnalazł Ferdynand Hoesick (1867-1941), księgarz i wydawca, pisarz, historyk literatury, muzykograf, redaktor naczelny „Kurjera Warszawskiego”.

W akcie urodzenia z 1810 roku czytamy: „Roku tysiąc osiemsetnego dziesiątego, dnia dwudziestego trzeciego miesiąca kwietnia, o godzinie trzeciej po południu. Przed nami, proboszczem brochowskim sprawującym obowiązki urzędnika stanu cywilnego gminy parafii brochowskiej powiatu sochaczewskiego w departamencie warszawskim, stawili się Mikołaj Chopin, ojciec, lat mający czterdzieści, w wsi Żelazowej Woli zamieszkały, i okazał nam dziecię płci męskiej, które urodziło się w domu jego w dniu dwudziestego drugiego miesiąca lutego o godzinie szóstej wieczorem roku bieżącego, oświadczając, iż jest spłodzone z niego i Justyny z Krzyżanowskich, liczącej lat dwadzieścia

osiem, jego małżonki, i że życzeniem jego jest nadać mu dwa imiona, Fryderyk Franciszek. Po uczynieniu powyższego oświadczenia i okazaniu nam dziecięcia, w przytomności Józefa Wyrzykowskiego, ekonoma liczącego lat trzydzieści ósm, tudzież Fryderyka Geszta, który rok czterdziesty skończył, obydwóch w wsi Żelazowej Woli zamieszkałych. Ojciec i obadwa świadkowie po przeczytaniu niniejszego aktu urodzenia stawającym wyznali, iż pisać umieją. My akt niniejszy podpisaliśmy. Ksiądz Jan Duchnowski, proboszcz brochowski sprawujący obowiązki urzędnika stanu cywilnego; Mikołaj Chopin, ojciec.”

Akt chrztu Fryderyka Chopina także z 23 kwietnia 1810 roku zawiera taką m.in. treść: „Ja, jak wyżej [Józef Morawski, wikary brochowski], dopełniłem obrzędów nad niemowlęciem ochrzczonym z wody, dwojga imion Fryderykiem Franciszkiem, urodzonym dnia 22 lutego z Wielmożnych Mikołaja Choppen, Francuza, i Justyny z Krzyżanowskich, ślubnych małżonków. Rodzice chrzestni - Wielmożny Franciszek Grembecki ze wsi Ciepliny z Wielmożną panią Anną Skarbkówną, hrabianką z Żelazowej Woli.”

Oba te zachowane sprzed ponad dwustu lat dokumenty są dzisiaj szczególnie przechowywane.

Na tegorocznym 54. Festiwalu Pianistyki Polskiej w Słupsku data urodzin Fryderyka Chopina była wielokrotnie wymieniana. W programie festiwalu znalazło się kilka jego utworów, o czym pisałem w innym miejscu. Kraj nasz zamierzał uczcić 210. rocznicę urodzin kompozytora przede wszystkim na tegorocznym XVIII Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina w Warszawie, ale - jak wiadomo - ze względu na panującą pandemię został on przeniesiony na następny rok. Ma odbyć się w dniach 2-23 października. Konkurs ten organizuje Narodowy Instytut Fryderyka Chopina i dokonuje trzyetapowych przesłuchań kandydatów.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk



Zdjęcie poglądowe / Fot. J. Sprengberg / wikimedia.org

Ja, matka z PRL-u

Otyła matrona o rozrzutnym zecie, która okazała się położną, do wszystkich na tej sali zwracała się per „ty”. Grubym, basowym głosem co chwilę uciszała krzyczące pacjentki w stylu: - Nie drzyj się tak!

Moi synowie to dzieci PRL-u. Wspominam ich narodziny, jak i miliony matek z tego okresu, jako traumatyczne przeżycia, pamiętane przez lata i mające duży wpływ na dalszy ich rozwój. Na ich życie i psychikę. Byłam wtedy młodą dwudziestodwuletnią kobietą, spodziewającą się swojego pierwszego dziecka. Moim oczekiwaniem było przede wszystkim, aby urodziło się zdrowe i żebym ten oczekujący mnie „koszmar porodowy” przeżyła.

23 lipca 1969 roku mąż taksówką podwiózł mnie w nocy pod szpital powiatowy w Słupsku. W wejściu na oddział porodówki na latami nie malowanych drzwiach z licznymi odpryskami starej farby tkwiła wydrukowana na kartonie informacja, że osobom postronnym, ojcom i rodzinie wstęp wzbroniony. Położna kazała mi się przebrać za parawanem w szarą, niby to białą, koszulę zawiązywaną na jeden trok (tasiemkę), z dekoltem rozchodzącym się od szyi, poprzez wystający brzuch, po moje matczyne łono. Wszystkie mamy

wyglądały tak samo. Jedynie niektóre miały szczęście na więcej troków przy nowszej koszuli i mogły się nimi bardziej „powiązać”.

Dostałam łóżko pod oknem w piętnastoosobowej sali. Innych sal zresztą nie było, jak tylko wieloosobowe, na których rządziły wszechwładne położne. Rodziło się dzieci na łóżku, zastawianym na ten moment parawanem, wzajemnie słuchając swoich jęków i krzyków. Moje dziecko coraz bardziej dopominało się, aby jak najszybciej zobaczyć mamę i ten szary pokój.

Ściany sali porodowej na wysokości jakichś dwóch metrów pociągnięte były szarą lamperią z olejnicy. Non stop świeciły się na niej denerwująco mrużące neonówki. Znalazłszy się tam, byłam przerażona i bardzo samotna z coraz większym bólem i ogromną nieświadomością, co się może wydarzyć.

Otyła matrona o rozrzutnym zecie, która okazała się położną, do wszystkich na tej sali zwracała się per „ty”. Grubym, basowym głosem co chwilę

uciszała krzyczące pacjentki w stylu: - Nie drzyj się tak! Jak było miło, to dobrze, a teraz będzie niemilo! Cisza!!!

Po czternastu godzinach potwornego bólu urodziłam wreszcie. Zaraz po urodzeniu na chwilę pokazano mi syna, był jak duża lalka. Różowiutki i bardzo głośno płakał. Zdążyłam go przytulić i ucałować. - Waga 4850 gramów! Długość 69 centymetrów! - zaburczała obsługująca przyrządy pomiarowe położna. Pomimo tego, że moje ciało było bardzo obolałe, byłam przeszczęśliwa. Moje ręce, a zwłaszcza nadgarstki nosiły ślady walki, jaką stoczyłam sama ze sobą, gryząc się z bólu, aby położna nie musiała mnie uciszać i raczyć swoimi głupimi uwagami.

Dzieci do karmienia po raz pierwszy przynoszono do matek dopiero po kilku godzinach, a często następnego dnia. Kobieta po urodzeniu dziecka nikt się nie interesował, no chyba że salowa przekupiona kawą lub czekoladą wieczorem w dużym naczyniu przypominającym poobijany dzban, przyniosła ciepłą - zamiast zimnej - wodę z gancjaną. I nad basenem umyła pozszywane i mocno sfatygowane krocze. Okropne to wspomnienia.

O wizycie męża i ojca pierworodnego mogłam tylko pomarzyć. Zwyczaj nakazywał, aby przejęci ojcowie czekali na wszystkie wieści w domu, o ile byli tymi szczęśliwcami dysponującymi telefonem lub mieli życzliwego sąsiada,

który go posiadał. Jakims w miarę rozsądnym wyjściem było też skorzystanie z poczty głównej, gdzie można było zamówić rozmowę ze szpitalem.

Mój małżonek należał do bardziej zaangażowanych ojców, dlatego udało mu się bombonierką przekupić szpitalny personel i zezowatą położną, która pozwoliła mu na krótko „rzucić okiem przez szybę” na swojego pierworodnego. Przez szybę w ścianie łączącej korytarz z salą, w której przebywały noworodki.

Ja mogłam męża zobaczyć jedynie przez uchylone okno sali na trzecim piętrze. Słyszając, jak krzykiem przyzywa moje imię, wyjrzałam i zobaczyłam, jak macha do mnie bukietem goździków. - Zochna! Widziałem Tomaszka! Kawał chłopca! Dziękuję, trzymaj się! Kupiłem podwójny zapas tetry na pieluchy, bo przez telefon powiedzieli mi wczoraj, że w drodze są chyba bliźniaki! Facet, który to mówił, op... mnie, że mam nie zawracać głowy! ... K..., a jak ja mam podać ci te kwiatki?!

Do domu wypisano mnie po pięciu dniach. Tak wypisywano wszystkie matki nowo narodzonych dzieci, jeśli nie było jakichś komplikacji zdrowotnych. To był naprawdę mój szczęśliwy dzień. Problemy dopiero się zaczęły w domu. Mój „duży” synek ciągle był głodny. Porady u pielęgniarki laktacyjnej nie można było szukać, bo takirj nie było. Wyciągał mleko matczyne z obu piersi i dodatkowo kupowane w aptekach „mleko niebieskie”; jednorazowo 100 ml. Kazano mi karmić dziecko co trzy godziny, a ja przekorna matka zaczęłam go karmić na jego żądanie, gdyż nie

mogłam patrzeć, jak się zwiija z głodu i zanosi płaczem.

Ojciec na drugi dzień poszedł zarejestrować go we właściwym Urzędzie Stanu Cywilnego. Nadaliśmy mu dwa imiona: Tomasz i Kazimierz. Drugie po dziadku według obowiązującej tradycji. Tu należy się wyjaśnienie, że zgodnie z obowiązującym do połowy lat osiemdziesiątych ub. wieku prawem do zgłoszenia dziecka w pierwszej kolejności zobowiązany był ojciec.

Chrztem dziecka oczywiście zajmował się kościół, ale... władze PRL podejmowały próby nadania tej prostej administracyjnej czynności formy rytuału konkurencyjnego wobec chrztu kościelnego. Robiono przymiarki przez wydziały propagandy, aby dzieciom nadawać imiona uroczyste w salach do zawierania małżeństw.

Co najmniej raz w miesiącu, w dni wolne od pracy w godzinach popołudniowych odbywano „chrzty cywilne”. W uroczystości takiej uczestniczyli dwaj świadkowie - niemal jak honorowi rodzice chrzestni - wybrani spośród przedstawicieli organizacji związkowych, prezydium Rady Narodowej, bądź Ligi Kobiet - w zależności od tego, jakie środowisko reprezentowali rodzice dziecka, któremu imię nadawano.

Pierwszy taki chrzest cywilny miał miejsce w 1968 roku w Warszawie, w USC Praga Północ z udziałem dzieci milicjantów. Rozpisywała się o tym wydarzeniu Trybuna Ludu. Pomysł po kilku latach propagandowej mobilizacji ostatecznie się nie przyjął i z czasem go zarzucono. Nam udało się załatwić chrzest w kościele mariackim w Słupsku

u księdza Króla, w obrządku katolickim, z rodzicami chrzestnymi: moją siostrą Krystyną i kuzynem Julianem.

W obecnych czasach może to wydawać się „egzotyczne”, ale cieszyło nas, że syn miał tradycyjny chrzest i uroczystość z najbliższą rodziną.

* * *

Nasz Tomaszek rósł jak na drożdżach, pomimo braku podstawowych produktów dziecięcych, jakimi dysponują dzisiejsze matki. Podwojona ilość pieluch z tetry, które - o czym mogą dzisiejsze matki nie wiedzieć - wymagały ręcznego przepierania z kupek i ciągłego gotowania w kociołkach na kuchni oraz suszenia na sznurkach rozwieszonych w łazience - została wykorzystana przy narodzinach drugiego syna Wojciecha.

Mój Wojtuś urodził się 26 października 1971 roku. Córka Kasia, ich siostra dziesięć lat później, w styczniu 1981. Przed jej narodzinami do krajowego systemu reglamentacji towarów włączono podstawowe produkty dla niemowląt. Hojne państwo, którego hojność wymusiły robotnicze niepokoje, dało przyszłym matkom wyprawkę za darmo. Otrzymywało się ją w aptece na kartę ciążową.

Pamiętam, jak dla córki dostałam różowy kocyk z bai, ręcznik kąpielowy, 10 pieluch tetrowych, 5 pieluch flanelowych, kilka kaftaników z płótna wiązanych na troki oraz kilka par śpioczków na guziki. Nie pamiętam dokładnie ich ilości, gdyż z tej radości nie zapisałam tego w moim pamiętniku. O wyborze koloru i rozmiaru można było tylko pomarzyć, nikt nie marudził, tylko brał, co było w paczce wyprawki.

Ubraniek dziecięcych zawsze na rynku brakowało, dlatego powszechną praktyką w rodzinie było donaszenie ciuszków po starszych dzieciach lub po odchowanych wcześniej dzieciach znanych koleżanek. Babcie dziergały na szydelku i drutach sweterki, skarpetki i sukieneczki. U mnie prym w tym wiodła babcia Marysia i mama męża, babcia Marta.

Niektóre środki pielęgnacyjne można było otrzymać w aptece na książeczkę zdrowia. Przysługiwała na nią oliwka i zasyпка. Tę ostatnią, kiedy jej zabrakło w aptece, zastępowało się mąką ziemniaczaną. Mając taką pomoc ze strony państwa, byłam, jak inne mamy, bardzo szczęśliwa. A przecież wyboru nie miało się w niczym, nawet proszek do prania był jeden - Cypisek.



Wspomniany Cypisek zawierał fosforany, więc wywoływał uczulenia u moich pociech. Zresztą nie tylko u nich, u mnie na rękach też. Zrezygnowałam z niego szybko jeszcze przy Tomaszku. Musiałam go zastąpić płatkami mydlanymi. Spoiwo firmy Barwa lub trudno dostępnym mydłem Białe Jeleń, pozbawionym sztucznych barwników i niepożądanych zapachów. Nazwa tego mydła, wytwarzanego już przed wojną, jak mi opowiadała babcia Rozalia, nawiązywała do legendy o świętym Hubercie, któremu podczas polowania ukazał się biały jeleni z krzyżem między rogami. Głowa jelenia wytłoczona była na kostce mydła. Oczywiście za moich czasów, zaraz po wojnie krzyż z poroża zniknął.

Te opisane środki czystości nie ułatwiały sprawy do końca. Gdy na świecie pojawiła się moja Kasieńka, miałam już do dyspozycji pralkę automatyczną Franię. Ale do prania we Frani nie nadawały się ani płatki, ani szare mydło, wiadomo, pienily się. Pieluchy zatem musiały być prane ręcznie. W systemie reglamentacji przysługiwało 20 pieluch tetrowych i żeby mieć zapas suchych, trzeba było je ciągle prać i gotować (sterylizować) w specjalnym kociołku.

Pamiętam jak pojawiły się pieluszki jednorazowe. Bardzo nieśmiało zdobywały one rynek już pod koniec lat 80. Do trzeciego miesiąca życia każdego niemowlaka, ja, matka z PRL-u ciągle prałam, gotowałam i potem, rzecz jasna, prasowałam pieluchy.

Dla pełności tego matczynego obrazu i tych matczyńskich wspomnień zarazem, dodam jeszcze, że kąpiele dzieci w tych latach też zasługiwały na odnotowanie. Niemowlęta kąpało się w jednakowych wanienkach, najpierw blaszanych z ocynkowanym wnętrzem, potem od lat osiemdziesiątych w plastikowych.

Mieszkaliśmy w tym czasie w Słupsku w nowym bloku postawionym przez Spółdzielnię Mieszkaniową „Czyn”. Jacy byliśmy wtedy szczęśliwi, kiedy mogliśmy po wpłatach udziałów tam zamieszkać. Nowe mieszkania oddawane często w naprędcie, żeby spółdzielnie nadążały z planem, były niedosuszone, a zimą niedogrzone. Na podorędziu koniecznie trzeba było mieć tak zwaną farełkę, czyli termowentylator produkowany w jedynej fabryce, jaką była Kętrzyńska Fabryka Sprzętu Elektrotechnicznego Farel.

Nie pamiętam, jak zdobyliśmy ten cud techniki koloru kremowego, który był towarem deficytowym i bardzo pożądanym, choć zużywał tyle prądu, że

powodował częste przepalanie się korynek w mieszkaniu. By po takim zdarzeniu nie siedzieć po ciemku, musiałam bezpieczniki naprawiać sama. Na liczniku energii elektrycznej zawsze miałam zapas cienkiego drutu, którym umiejętnie zadrutowałam spalony korek.

Reguły żywieniowe również były inne, niż dzisiaj. Na książeczkę zdrowia przysługiwało mleko w proszku, od koloru torebki zwane niebieskim, ale powszechną praktyką wtedy było podawanie dziecku tłustego mleka „prosto od krowy”, zamawianego u roznosiciela i dostarczanego co rano w szklanych butelkach prosto pod drzwi mieszkania. Ja miałam to wielkie szczęście, że znajomy lekarz pediatra, doktor Bech wypisywał mi recepty do apteki i mogłam wykupić niemieckie mleko w proszku pod nazwą Humana. Z zawodu jestem zootechnikiem i miałam obawy przed karmieniem dzieci krowim mlekiem, gdzie często krowy nie były badane na gruźlicę i chorowały na nią, jak i inną niebezpieczną chorobę - pryszczycę.

Wszystkie zupki wykonywałam jak wszystkie inne matki, gotując codziennie warzywa i przecierając je przez metalowe sitko na papkę. Jedyne soczki owocowe dla dzieci, jaki można było kupić w małych buteleczkach, nazywał się Bobo Frukt.

Na spacerze wzdłuż Słupi można było spotkać młode matki ze swoimi pociechami w prawie jednakowych wózkach, różniących się jedynie kolorami, Produkowanymi zapewne według jednego wzoru przez jedną fabrykę. O jakichś wymyślnych zabawkach, gadżetach nie było nawet mowy. Nikt nie grymasił, cieszyliśmy się z tego, co było, co można było dostać i wykorzystać, by nasze dzieci rosły szczęśliwie. Sama teraz się dziwię, wspominając ten miniony czas PRL-u, że nasze dzieci chowały się zdrowo, nie chorowały nagminnie i dobrze się rozwijały.

Opisałam tę historię peerelowskiego pokolenia moich dzieci, gdyż czasami mam wrażenie, że ono samo nic o tym nie wie. Nie wie i nie rozumie, jak w ciężkich czasach powojennego rozwoju państwa, włączanego do izolowanego przez świat bloku wschodniego, zarządzanego przez ZSRR, my, matki z PRL-u musiałyśmy każdego dnia trudzić się, by mimo uwiązania klucza na szyi i najprostszych zabaw na trzepaku, nasze dzieci mogły jak inne na całym świecie być szczęśliwe.

Zofia Maria Smalewska
Gdańsk

Nadawano dzwonom imiona podczas uroczystego chrztu. Istniało przekonanie, że od tego momentu dzwon „mówi” głosem świętego. To wrażenie potęgowało jego zawieszenie - między niebem a ziemią. W wiosennych miesiącach 1945 roku pewnie dzwony milczały. Nie ma o tym wzmianki w lokalnych kronikach, a może tylko nie umiałam do nich dotrzeć?

Pierwszy koniec dzwonów na Pomorzu nastąpił w latach I wojny światowej, gdy koszty wojny były coraz większe i brakowało surowców do produkcji broni. Wówczas zdecydowano, że dzwony zostaną przetopione na potrzeby wojska. Wywieziono dzwony z Wytowna i Rowów, i wielu miejscowości Pomorza. Stare barokowe spżozowe dzwony przetopiono na broń. To nie był jednostkowy akt barbarzyństwa.

O dzwonach kościoła w Wittenhagen (Wytownie) pisał Ludwig Böttger w publikacji wydanej w Szczecinie w 1894 roku „Die Bau- und Kunstdenkmäler, Heft 4 Kreis Stolz”: „Pierwszy z nich jest rozbity i ma relief z wizerunkiem Zbawiciela na krzyżu z dwiema postaciami po obu stronach (Scena Ukrzyżowania), podobnie jak w Gr. Machmin. Napis brzmi: „Georg Ramel, Vrsvla Rameln, Georg Hinrich Ramel Iochim Dorinck Ramel Anno 1606.” Drugi ma dość wydłużony profil 64 cm i średnicę 55 cm. Ten jest średniowieczny.”

Dzwony z Wytowna nie przetrwały. Zachował się dzwon z kościoła w Machowinie z tego samego roku. Podobnie Żaden z czterech dzwonów koszalińskiej katedry nie pamięta czasów świetności, tamte zostały przetopione na armaty. Przetrwał tylko jeden, najmniejszy i zabrano go do Oldenburga.

W Gorawinie (niem. Gervin) w powiecie kołobrzeskim na wieży kościoła wisiały dwa piękne dzwony. Podczas I wojny światowej większy, na polecenie władz niemieckich, zabrano na potrzeby wojenne.

„W Europie pojawiły się na przełomie VI i VII wieku. Były symbolem bogactwa i potęgi, stanowiły o prestiżu fundatorów, trwałości i więzi społeczeństw. To nieprawda, że okupanci zawsze przetapiali dzwony na armaty - mówi Janusz Felczyński, znany ludwisarz. (...) Z Polski dzwony wywożono podczas

Dzwony z Wytowna

Czy biły wtedy dzwony? Na trwogę? Czy głosiły pokój? Nic o tym nie wiemy. Chociaż od wieków biły w ważnych dla lokalnej społeczności chwilach. Biły na trwogę, ostrzegały, wzywały na modlitwę, głosiły wolność, radość, a nawet odstraszały złe moce.



historycznych dzwonów - a dzwon gliwicki został ufundowany tuż po wojnie trzydziestoletniej przez ówczesną dość zubożałą społeczność miasta - nowa ustawa nie dotyczyła. Kiedy w dodatku w Koźlu aresztowano proboszcza za to, że wezwał swoją parafię do publicznej modlitwy w intencji ratowania dzwonów, już zupełnie ucichło na ten temat.

- Nasze piękne dzwony - powiedział Willi Wondrak bezradnie. - Że też muszą to robić w Wielki Piątek! (...)

- Słyszałam - odezwała się Valeska - że kościoły ewangeliczne robią z tego niemal nabożeństwa ofiarne; najpierw po raz ostatni uderzają w dzwony, po czym przekazują je uroczystie führerowi, narodowi i ojczyźnie."

rozbiórów, podczas drugiej wojny światowej Niemcy ściągali je z całej Europy do składowisk we Wrocławiu i pod Hamburgiem."

Kiedy „zbiórka metali z okazji urodzin führera” nie przyniosła oczekiwanych rezultatów, w lutym 1941 roku zaczęto zdejmować dzwony kościelne. Do końca II wojny światowej zdjęto ponad 100 tysięcy dzwonów. Tylko niewiele z nich, o największej wartości udało się ocalić przed wywózką do huty. Taka łaska objęła dzwon z 1655 roku odlany przez Gerta Benninga III z kościółka w Objeździe, prawdopodobnie dzięki patronce Käte Kutscher.

Horst Bienek, urodzony w Gliwicach, trzecią część swojej tetralogii zatytułował „Czas bez dzwonów” (1979). Opisuje historię oddawania dzwonów (1942/3) w rodzinnym mieście. „Był to podobno rozkaz Marszałka Rzeszy, (...) ale nikt tego nie widział na piśmie. Tercjanie zaczęli na własną rękę zbierać metale kolorowe, aby uratować przynajmniej najstarszy dzwon z 1654 roku. (...) Później okazało się jednak, że starych

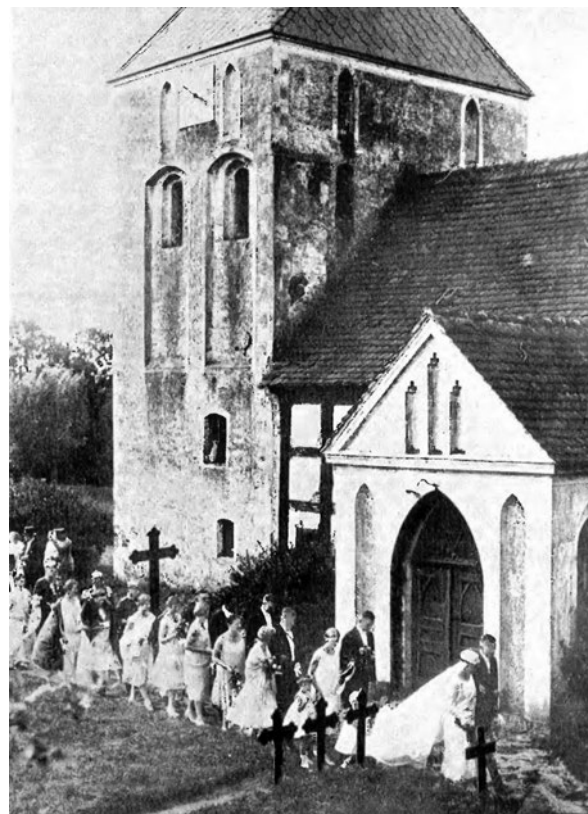
Zmiana dokonała się bez bicia w dzwony. Nikomu nie było to w głowie, a poza tym te nowe, żeliwne, zawieszone w latach dwudziestych po pierwszej wojnie, były dzwonami „zastępczymi”. Chyba nie wierzone w ich magiczną moc. Stary świat upadał zatem w huku armat i rozpaczy. Nowe niewiadome dopiero miało przyjść.

Powojenną administrację gminną najpierw osadzono w Wytownie. 25 września 1945 roku gmina powiatu słupskiego weszła pod zarząd wojewody gdańskiego, z kolei od dnia 28 czerwca 1946 przyłączono ją do województwa szczecińskiego, a od lipca 1950 gmina wraz z całym powiatem słupskim weszła w skład nowo utworzonego województwa koszalińskiego. Jako wieś gminna Wytowno funkcjonowała do 1954 roku. Zmiany administracji państwowej były częste i później. Stan na dzień dzisiejszy: gmina Ustka, powiat słupski, województwo pomorskie.

W ślad za administracją państwową organizowano prowizoryczną

administrację kościelną. Na terenach Pomorza Tylnego (Hinterpommern) obejmującego obecne województwo zachodniopomorskie, częściowo pomorskie oraz wielkopolskie organizowano katolicką administrację kościelną. Kardynał August Hlond w sierpniu 1945 roku mianował na stanowisko administratora kamieńskiego i lubuskiego z siedzibą w Gorzowie ks. Edmunda Nowickiego. To on posłał do Wytowna ks. Jana Zięję, z jego inicjatywy w 1947 roku w Słupsku powołano Niższe Seminarium Duchowne,

Pierwsze powojenne lata (1945-1947) były czasem organizowania, urządzania świątyni przejętych po protestantach, troski o wiernych przybyłych na te ziemie z różnych krańców Polski. Kapłani cieszyli się względną swobodą działania, co potwierdza działalność ks. Jana Zięi, pierwszego powojennego kapłana w Słupsku, proboszcza parafii w Wytownie, posłanego tam przez ks. Edmunda Nowickiego po zwolnieniu ks. Zięi z obowiązków w Słupsku. Za datę powstania parafii katolickiej



Fot. Archiwum Autora

(ewangelicka z kościołem filialnym w Machowinie (Groß Machmin) istniała od XVI w.) w Wytownie przyjmuje się 3 kwietnia 1946 roku, a wezwanie kościoła św. Franciszka z Asyżu przyjął jej pierwszy proboszcz ks. Jan Zieja, uznający świętego za swojego duchowego patrona.

To tylko kilka zdań o skali problemów związanych z organizacją życia na ziemiach Pomorza. Dopiero po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych między Republiką Federalną Niemiec a Polską Rzeczpospolitą Ludową 28 czerwca 1972 roku Paweł VI bullą (łac.) *Episcoporum Poloniae coetus* na terenach administracji gorzowskiej utworzył trzy pełnoprawne diecezje, w tym diecezję koszalińsko-kołobrzeską, w skład której po dzień dzisiejszy wchodzi parafia Wytowno (erygowana w 1968 roku, kiedy proboszczem był ks. Edmund Radtke). Niestety, od roku 1989 Objazda, Bałamątek, Dębina, i Rowy przeszły pod administrację diecezji pelplińskiej jako parafia pw. Matki Bożej Częstochowskiej w Objęździe z pierwszym jej proboszczem ks. Stanisławem Fortuńskim.

Kościół z drugiej połowy XVII wieku w Wytownie (Weitenhagen) w nawie głównej, bez wyodrębnionego prezbiterium, jest budynkiem z muru pruskiego tynkowanego. Jedynie wieża i przybudówka na fundamencie z kamienia polnego ma mury z cegły i datowana jest na czas wcześniejszy niż nawa główna. Zachodnia przybudówka z wejściem ma sklepienie o konstrukcji ostrołukowej. O możliwości starszego datowania świadczą stiukowe obramowania łuków wewnętrznych okien. W 1880 roku wieża i kościół zostały odnowione. Masywnością wieży i ostrołukami przybudówki bryła kościoła nawiązuje do architektury obronnej kościoła Mariackiego i Nowej Bramy w Słupsku.

Wewnątrz znajdziemy oryginalne wyposażenie kościoła - ołtarz z II połowy XVII wieku z gotyckimi rzeźbami, ambonę kompilowaną z elementów barokowych i neogotyckich, epitafium pastora Marcina Westphala z 1680 roku - z emblematem Zbawiciela na krzyżu otoczonego przez rodzinę kaznodziei. Zabytkiem jest też empora z połowy XVIII wieku oraz przepiękny prospekt organowy z XIX wieku. W kościele znajduje się kilka drewnianych rzeźbionych figurek: św. Anna Samotrzecia, Ewangelista Marek z księgą i płaszczem oraz kilku świętych. U sufitu wisi model statku prowadzony przez

anioła z rozpostartymi skrzydłami z napisem: „Soli Deo Gloria”. W wyposażeniu znajduje się ponadto złocony, bogato zdobiony srebrny kielich z 1662 roku o sześciostopowej podstawie, do której przylutowano krucyfiks i herb rodziny von Winterfeld, do której należała fundatorka Margareta Agnes von Winterfeld. Wyposażenie stanowią ponadto dwa ołtarzowe świeczniki, mosiężna grawerowana chrzcielnica, mały malowany na szkłe witraż w oknie z postacią Mojżesza. Była też wyhaftowana tkanina ołtarzowa z zielonego jedwabiu z 1771 roku - o której wspomina Böttger.

Karty zabytku udostępnione przez Słupską Delegaturę Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków informują o dacie wykonania żeliwnego odlew dzwonu „zastępczego” w zakładzie Ulrich & Weulle Bockenem am Hartz w 1924 roku. Minuskuła w dwóch rzędach głosi: „Ehre sei Gott in der Höhe” (Chwała Bogu na wysokości).

Drugi dzwon zawieszony w środkowym stanowisku pochodzi z tego samego roku i tej samej pracowni, co zostało uwidocznione na jego płaszczu. Minuskuła „Und Friede auf Erden” (I pokój na ziemi) jest wyraźnym dopełnieniem wezwania z pierwszego dzwonu. Ostatnie miejsce, zajmowane niegdyś przez barokowy dzwon, zajmuje niewielka mosiężna sygnaturka, starsza niż żeliwne dzwony.

W niedalekich Rowach, parafii pastora i kronikarza parafii Franza Kypke 1 października 1922 roku uroczystie zawieszono dwa dzwony z giserni „Ulrich & Weule”. Wybór nie był przypadkowy. Firma JF Weule miała siedzibę w Bockenem w hrabstwie Hildesheim, gdzie wówczas prezydentem okręgu był Wilhelm Kutscher urodzony w Wobesde. Wydaje się, że w sprawie zlecenia na dzwony do Rowów, a może i później do Wytowna, zadziałały koneksje rodzinne rodu Kutscherów, szczególnie Wilhelma Kutschera. Dzwony do Wytowna odlano w firmie „Ulrich & Weule” w 1924 roku.

Firma „Ulrich & Weule” powstała w 1917 roku w ramach współpracy właściciela giserni Heinricha Ulricha z Apoldy i Friedricha Weule sr. z Dillsburga koło Bockenem. Gisernia odlewała dzwony z żeliwa chlorowanego zamiast z brązu, zawieszenie stanowiły głównie proste jarzma, co gwarantowało lepszy dźwięk, zdobieniem były plastyczne liście dębu, pewnie na znak związku z wojenną historią. Po I

wojnie światowej masowo odlewano tak zwane „dzwony zastępcze”, tańsze i bardziej opłacalne.

Dwa lata później, 17 sierpnia 1926 roku Weitenhagen (Wytowno) odwiedził Paul Ludwig Hans Anton von Hindenburg, feldmarszałek i prezydent Republiki Weimarskiej i III Rzeszy jako gość uroczystości ślubnej swojego wnuka von Brockhusen-Großjestin z Werą von Bandemer.

Historia wciąż jest wokół nas, choć często jej nie znamy i nie mamy świadomości jej zawłości. Tak na przykład w Objęździe, przez długie powojenne lata należącej do parafii w Wytownie, mijamy codziennie kamień ustawiony na kościelnym wzgórzu, nie zdając sobie sprawy, że ongiś, w roku 1933, we wsi odbyła się uroczystość ustawienia owego kamienia: „Ten kamień upamiętnia 86. urodziny Paula Ludwiga Hansa Antona von Beneckendorff und von Hindenburg jako niepokonanego dowódcy wojny światowej 1914 - 1918. W roku 1933 najwyższy dowódca i prezydent Rzeszy przekazał przywództwo państwa żołnierzowi frontowemu Adolfowi Hitlerowi. Związek Wojowników Wobesde jest mu za to wdzięczny. Wobesde, 2 października 1933. Certyfikat podpisali wszyscy członkowie klubu.” - zapisał autor kroniki parafialnej z Rowów.

Konsekwencje aktu Hindenburga znamy. Doświadczyły ich obie społeczności, dla których wsie między Rowami i Ustką były lub są małą ojczyzną. Warto znać historię, jej materialne znaki są wokół nas.

Jak zakończyć historię o dzwonach? Kościoły w Niemczech zmieniają swą sakralną funkcję, zatem i dzwony przestają być świętością. Tak na przykład ze zlikwidowanego kilka lat temu kościoła św. Józefa w Essen sześć dzwonów z brązu powinno służyć w innej parafii. Chcą je odstąpić za pół ceny. Internetowa giełda dzwonów Glockenbörse GbR oferuje kilkanaście dzwonów - pojedynczych i wielogłosowych. Warunek stawiany kupującemu - muszą trafić do kościoła. Kilka z nich już znalazło swe miejsce w polskich nowych parafiach.

W Wytownie kolejna jesień. Stary kościół wypełnia się wiernymi, którym dzwony „zastępcze” obwieszczają czas modlitwy.

Czesława Długoszek, Objazda

Bardzo dziękuję Pani Katarzynie Bartosiewicz z Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków Delegatura w Słupsku za umożliwienie skorzystania z kart zabytków.



POŻEGNANIE LATA W KLUKACH WRZESIEŃ 2020





Nadleśnictwo Wąrczo
Biblioteka Publiczna
MIEJSCA I GMINY KERICZE

DYPL

Za znalezienie
NAJBARDZIEJ
NIETYPOWEGO
podczas
XIV Otwartych M
w Zbieraniu Grzybów